

DZIS I JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok III

Warszawa, 23 listopada 1947 r.

Nr 47 (104)

TREŚĆ NUMERU: M. J. Kononowicz - Wiersze. J. Dobraczyński - Odysseusz chrześcijaństwa. Z. Wasilewski - Przedmowa W. Kętrzyński - W oczach cudzych i własnych... M. Kurzyna - W trosce o młodych humanistów. K. Koźniewski - O inteligentnym reakcjonście. J. Zawieyski - Ocalenie Jakuba. W. Bąk - Sługa Don Kiszota. M. Cervantes - Przygody Ortela Banedre. Tydzień Kulturalny. W. Majdański - A jednak powtarzam... St. Podlewski - Łączniczki Starego Miasta. St. Klodziński - Pożegnanie Tatr w Oświęcimiu. St. Kisielewski - List Jubileuszowy.

Jesteśmy katolikami przez chrzest św. i praktykowanie, przez podległość Papieżowi i Hierarchii w rzeczach wiary i moralności. Staramy się i chcemy być katolikami jak najbardziej świadomymi głębi prawdy naszej świętej wiary. Pragniemy usilnie, choć jakże nieudolnie, żyć w Łasce i wychowywać tych, na których wpływ mamy, w świetle Łaski.

Taka jest nasza postawa i najgłębsze źródło naszej aktywności.

Jesteśmy Europejczykami żyjącymi w konkretnym okresie dziejowym walenia się starego świata i powstawania nowego. Cóż to jest stary świat? — jest nim kapitalizm i burżuazja i niewolnictwo człowieka przykutego bezwolnie do nędzy i strachu. Atmosfera starego świata to brak poczucia rzeczywistości, to zapomnienie o fakcie, że do historii współczesnego dnia, a na pewno do historii przyszłego jutra wkroczyły masy. Masy wchodzą do dziejów jako podmiot. Jako właściciel pracy i jej owoców. Jako wola pełnego życia, radości i gniewu, ofiary i twórczości. Gdzie powstaje nowy świat? — stanowią go wszyscy ci, którzy wierzą, którzy posiadają idee i traktują ją jako źródło i uzasadnienie własnej działalności. Niech nikt nie mówi, że przecież język frazeologii przedstawicieli nowego i starego świata jest podobny, że tu i tam mówią o szczęściu, wolności i masach. Różnica pozostaje zasadnicza. Wszędzie tam, gdzie idea czy głoszona wiara jest narzędziem służby egotystycznym interesom osobistym czy grupowym, wszędzie tam, gdzie treść jest obłudna a idea tylko frazesem, wszędzie tam jest stary świat. Nowy świat stanowią i tworzą ludzie, których życie jest narzędziem służby wyznawanej wierze i posiadanej idei. Katakizm, który wstrząsa narodami nie wynika z tego, że parę mocarstw nie umiało czy nie umie podzielić się wpływami na zasadzie najmniejszego ryzyka i najbezpieczniejszej korzyści. Katakizm ten ma źródło w niepokoju człowieka — i to nie człowieka jakiejś warstwy rządzącej, ale człowieka masy, — który chce lepiej żyć, bogaciej moralnie i materialnie, który chce więcej rozumieć, więcej kochać i więcej tworzyć.

Katolicyzm jest religią zdolną zbawić ludzi starego i nowego świata, najbardziej winnych z nich i najbardziej niewinnych. Katolicyzm jest reli-

gią uniwersalną nie tylko przestrzennie, ale także czasowo będąc zbawczym dla wszystkich epok, które były i będą. My jednak, w zakresie naszej doczesnej drogi do prawdy, chcemy budować świat nowy i zdecydowani jesteśmy świat stary likwidować i przewycięzać. Widzimy mimowolną ale istotną wspólnotę z wszystkimi, którzy pełni żalu i oburzenia chcą niesprawiedliwość starego świata usunąć. Porządku umierającego świata ratować nie będziemy, gdyż on nie tylko ginie ale zabija zdolność życia u swych zwolenników. Niewątpliwie przewidujemy różnice i dramatyczne starcia między rewolucyjnymi kierunkami budującymi nowy świat. To że kierunki łączy negacja starego świata nie może przesłaniać różnic w budowaniu nowego. Programem naszym jest tu współtworzenie z każdym kto odkrył i realizuje prawdę nowego świata, współtworzenie z bezwzględny zamiarem przewyciężenia chrystianizacją wszystkiego co pogańskie.

Jesteśmy Polakami. Wybierając świadomie, staramy się reprezentować te założenia współczesnej racji stanu, które chronią życie Polski pojętej kulturalnie i biologicznie. Jesteśmy zdecydowani przeciwstawić się wszelkiej taktyce, zmierzającej do czynienia z Polski terynu rozgrywki międzynarodowej. Nie widzimy najmniejszego powodu do dopuszczenia aby różnice światopoglądowe między Polakami były politycznie wygrywane przez polityków anglosaskich i ośrodki im podporządkowane. Stosunek polityki anglosaskiej do Niemiec traktujemy jako katastrofalny, niemoralny i Polsce wrogi.

Znaczna część społeczeństwa polskiego żyje w stanie wykrzywienia psychiki kompleksem „ofiary” i kompleksem „przetrwania”. Kompleksy te występują na przemian w naszej historii, wielokrotnie powodowały katastrofalny ubytek sił narodowych — są one bowiem sprzeczne z samą zasadą ciągłości życia narodu. Nie przestaniemy przekonywać, apelować, narażać się wreszcie wszystkim Polakom obciążonym kompleksami w przekonaniu, że koniecznym jest aby zmienili swe nastawienie na rozważną wolę, przewyciężania twórczością trudnej rzeczywistości powojennej w drodze do nowego, odrodzonego świata.

Zespół „Dziś i Jutro”.

Jacques Maritain

NIEŚMIERTELNOŚĆ NASZEGO „JA”

I.

PARADOKS ŻYCIA LUDZKIEGO

Przedstawmy sobie byt ludzki nie w sposób abstrakcyjny i ogólny, lecz najbardziej konkretnie i możliwie osobiście. Pomyślmy o tym starym człowieku, którego znamy od lat, o tym starym wieśniaku z twarzą zoraną brudami i jasnymi oczyma, które widziały tyle żniw i tyle horyzontów, o jego przyzwyczajeniu do cierpliwości i cierpień, o jego nędzy i ciężkiej pracy. Albo wspomnijmy chłopca lub dziewczynkę żyjących u naszych rodziców, czy przyjaciół, których życie codzienne znamy tak dobrze, zaś drogie ich spojrzenie i głos cichy, lub przenikliwy porusza nasze serca. Przypomnijmy, odtwórzmy sobie w naszym sercu, choćby jeden ruch ręki, lub uśmiech oczu istoty, którą kochamy. Jakie skarby ziemskie, jakie arcydzieła nauki, lub sztuki, mogłyby opłacić bogactwo życia, uczucia, wolności i pamięci, których ten ruch lub uśmiech jest przemijającym wyrazem? Przez to zjawisko pojmujemy intuicyjnie chwytem intelektu bardziej jasnym niż zwykle rozumowanie, że nie ma na świecie nic cenniejszego od osoby ludzkiej. Wiem, że trudnych pytań cisnie się wtedy

rozumowi i powrócę dalej do tych trudności, ale chwilowo pragnę tylko zatrzymać się na tej intuicji prostej i zdecydowanej, dzięki której uzmysławia nam się cała nieporównana wartość osobowości ludzkiej. W dodatku już św. Tomasz z Akwinu uprzedził nas, że osobowość jest czymś najbardziej szlachetnym i doskonałym w całej naturze.

Nic jednak, nic na świecie nie jest więcej wystawione na niebezpieczeństwo, bardziej narażone na wszelkie ryzyko i bardziej marnotrawione niż życie ludzkie. Nic nie jest tak zaniedbywane, traktowane z zupełnym brakiem starania i całkowitą rozrzutnością tak, że odnosimy wrażenie, jakby człowiek był czymś w rodzaju drobnej monety w rękach obojętnej natury. Zbrodnią jest niewątpliwie pozwalanie na ciemiężenie istnień ludzkich w sposób bardziej okrutny i pełen pogardy niż bydła, oraz zdanie ich na łaskę i nie łaskę mocarstw totalnych, lub nienasyconych zdobywców. Przymusowe przesiedlania ludności, okropności obozów koncentracyjnych, masowe morderstwa, wojny ujarzmiające narody, wszystkie te fakty, których byliśmy świadkami, są objawami godnych pogardy zbrodni

przeciwko ludzkości, urosłych do nigdy niewidzianego stopnia. Niewątpliwie jest również, hańbą, że świat przygląda się spokojnie poniżającym warunkom życia narzuconym tylu ludziom. Już Burke powiedział przed półtora wiekiem: „krew ludzka może być przelana tylko dla ocalenia innego człowieka. Dobrze jest przelać ją za rodzinę, za przyjaciół, za Boga, Ojczyznę, Kraj, Ludzkość. Wszystko inne jest próżnością, wszystko inne jest zbrodnią.” Ale jeżeli jest prawdą, że krew człowieka może być przelana za rodzinę, przyjaciół, kraj, ludzkość, za Boga, to jednak dowodzi istnienia w rzeczywistości wielu spraw, które zasługują, aby człowiek złożył im w ofierze swoje ziemskie życie. Jakież to są sprawy? Sprawy, posiadające wartość prawdziwie ludzką i boską; sprawy, w których zamyka się pojęcie prawdy, wolności i tego świętego poszanowania prawdy i godności ducha, bez których bytowanie ludzkie staje się pozbawionym sensu; sprawy, które człowiek może i musi kochać więcej niż swoje ciało i krew. Głównie dlatego, że odsłaniają sens wielkiego dzieła odkupienia krwi ludzkiej.

Należy przy tym uwypuklić ważny

fakt: że w tej ciężkiej pracy rodzaju ludzkiego, w tej bezmiernej sieci solidarności, której każde oczko powstało wysiłkiem i ryzykiem człowieka i służy choćby nawet w najmniejszej części ruchowi postępu całości, znajduje się nieskończoność spraw, często bardzo nieważnych, dla których ludzie narażają się na niebezpieczeństwo i którym oddają się w ofierze. Często motywami tej dziwnej odwagi nie jest ani miłość, ani czysta wielkoduszność, lecz tylko biologiczna energia, żądza sławy lub chęć ryzyka i poszukiwanie przygody. Wszystko to jest co prawda porwane falą nadmiaru chęci ofiary z siebie, tryskającej ze źródeł osobowości i prowadzącej ku jej udoskonaleniu. Uczony naraża życie dla nowego odkrycia w królestwie materii, pionier dla powstania nowego miasta, lotnik dla polepszenia środków komunikacji, górnik, aby wydrzeć węgiel z łona ziemi, poławiacz pereł dla wydobycia z dna oceanu ozdoby piękności nieznannej kobiecie, podróżnik dla poznania krajobrazów, alpinista dla zdobycia nowego szczytu. Jakież jest jednak porównanie między czynnikami tych działań jakiegokolwiek by one były, ważne czy nieważne, a ceną życia ludzkiego

narażanego w ten sposób. Życia pełnego obietnic, w którym zamknięte jest tyle darów niezastąpionych i które może być kochane przez tyle serc? Ale przecież w tak wielu zakątkach działalności ludzkiej jest zamaskowana śmierć. Codziennie powieramy życie nasze i tych, których kochamy nieznanemu kierowcy kolei podziemnej, samolotu, autobusu lub taksówki. Gdzie nie ma ryzyka, nie ma życia. Nauka lub cywilizacja wynosząc do bezsensu wartość życia ludzkiego, oparłaby się na obawie przed ryzykiem i kulcie bezpieczeństwa, osiągnęłaby największe z niebezpieczeństw: ryzyko tchórzostwa i głupoty. Ryzyko, które jest udziałem człowieka w każdej przeżytej chwili, jest warunkiem samego życia, poczynając od założenia rodziny i posiadania potomstwa, na wielkiej polityce światowej kończąc.

Oto stoimy przed paradoksem. Z jednej strony nie ma na świecie nic cenniejszego nad pojedynczą osobowość ludzką, z drugiej nic na świecie nie jest bardziej marnotrawione i bardziej wystawione na wszelkiego rodzaju niebezpieczeństwa, niż życie ludzkie. I to jest prawo w istocie swej normalne. Jakież jest znaczenie tego paradoksu? Najzupełniej jasne.

Oto ukazuje się nam fakt doskonały człowiekowi znany, że śmierć nie jest końcem, lecz początkiem. W najtajniejszych głębiach naszej osobowości, wierzymy mocno, że możemy narażać się na wszelkie ryzyko, nie oszczędzać życia, szafować jego darami i dobrami, gdyż jest ono nieśmiertelne. Liturgiczny śpiew katolicki odpowiada przy ciałach zmarłych, tej wkorzonej w nas instynktownej świadomości, słowami „vita mutatur, non tollitur”.

II.

POZNANIE INSTYNKTYWNE
NIEŚMIERTELNOŚCI

Zaznaczamy to: człowiek posiada naturalną instynktowną świadomość swej nieśmiertelności. Świadomość ta nie jest związana z jego inteligencją, lecz ze strukturą ontologiczną, nie zawiera się w podstawach rozumowych, lecz w samej substancji człowieka. Dzięki niej inteligencja może zdobyć wiedzę wewnętrzną w sposób bezpośredni, przez pewną refleksyjność, przez pewnego rodzaju powrót do podkładów podmiotowości ludzkiej; inteligencja może również zignorować instynktowne poznanie nieśmiertelności i pozostawać nieświadomą, gdyż jest ona z natury swej powierzchowna i zwrócona ku rzeczom zewnętrznym. Może ona nawet zaprzeczać istnieniu duszy i nieśmiertelności, w oparciu o zbiór pewnych idei i rozważań. Nawet jednak wtedy, gdy inteligencja ludzka zaprzecza nieśmiertelności, człowiek żyje pomimo swych ustaleń rozumowych, w oparciu o bazę nieświadomą i rzecz można biologiczną, przpuszczając w tej nieśmiertelności, której istnieniu przeczy intelektualnie. Pomimo tego, że wewnętrzne niezgodności nie są w nas rzadkie i wprowadzają w nasze postępowanie wiele zamieszania, odchylenia i słabości, nie mogą jednak rozbić, ani unicestwić podświadomych podstaw tego postępowania wynikającego z nastawienia na nieśmiertelność. Poznanie instynktowne, o którym mówimy jest powszechne i niejasne. Jeśli człowiek nie jest „intelektualistą”, to znaczy, jeżeli jego inteligencja mało się zajmuje ideami, nauką, filozofią i pozwala tylko strzec naturalnych dążeń naszego gatunku, wtedy to poznanie instynktowne odbija się na jego rozumie. Nie wątpi on, że po życiu obecnym przyjdzie inne. Dopiero z refleksyjnością przychodzi wątpienie. Możliwość wątpień i błędów w sprawach, które są naturalnie wpojone w zasadnicze podstawy egzystencji ludzkiej, jest okupem składanym postępowi naszego rodzaju za udoskonalenie racjonalistyczne. Okupem często bardzo ciężkim. Rozwiązanie zagadnienia nie leży bynajmniej w namawianiu do pewnego rodzaju powrotu do życia instynktownego, jak o tym marzył D. T. Lawrence i wielu innych.

Taki zwrot wstecz byłby w dodatku zupełnie niemożliwy i mógłby doprowadzić do perwersyjności życia cywilizowanego, a nie do naturalnej prostoty. Człowiek nie może uciec przed rozumem i historią. Jednym rozwiązaniem godnym człowieka, nie jest ucieczka wstecz ku instynktowi, lecz dążenie naprzód ku rozumowi dobrze wyposażonemu, znającemu prawdę. O instynktownej wierze człowieka w nieśmiertelność, która nie jest poznanie koncepcyjnym lub filozoficznym, lecz przeżyciem i doświadczeniem znajdujemy uderzający dowód w sposobie życia ludów pierwotnych. Jakbyśmy daleko nie szukali w przeszłości, znajdujemy zawsze ślady rytuału pogrzebowego i niezwyklej staranności wobec zmarłych i ich życia pogrzebowego. To, co wiemy o wierzeniach ludów pierwotnych, wskazuje nam, że ich wiara w nieśmiertelność może przyjąć jak najbardziej dziwne i zwyczajne formy. Często np. w starych przesądach chińskich, zmarli są straszli-

wie groźni i żywi muszą się otoczyć wszelkimi możliwymi ostrożnościami, przed ich złowieszczą działalnością. Idee, rozważania i tłumaczenia, przy pomocy których ludy prymitywne starają się usprawiedliwić swoje wierzenia i wyobrazić życie pozagrobowe, wydają się nam dziwaczne i często absurdalne. Dziwaczności i absurdalności mitologii tych ludów, którymi tak się martwił Frazer z naiwnością człowieka cywilizowanego są łatwe do wytłumaczenia. Z jednej strony klimat umysłowy ludzi prymitywnych, nie jest klimatem rozumu, lecz wyobraźni; inteligencja pierwotna, świeża i dopiero rozbudzona, życiowo złączona z przyrodą działa w pewnego rodzaju mroku, którego wyobraźnia tworzy prawie jedyne światło. Koncepcje pierwotnych są regulowane przez prawo obrazów. Z chwilą kiedy się to zrozumie, mity ludów pierwotnych są mniej absurdalne i nawet bardziej pełne mądrości, niż sądzą różni etnolodzy. Z drugiej strony przemysł ludów prymitywnych w odniesieniu do wszystkiego co dotyczy nieśmiertelności nie są wynikiem jakiegokolwiek rozważania racjonalistycznego. Przeciwnie tłumaczy one zgodnie z przypływaniami lub odpływami fal wyobraźni, pewnością substancjonalną nie intelektualną, która im jest dana przez całą naturę. Im więcej mity o duszy i życiu przyszłym wydają się irracjonalne i obfitują w nonsensy, tym więcej świadczą one o pewności życia pozagrobowego, wkorzonej w najgłębsze i niewzruszone podkłady świadomości.

Gdzie można znaleźć początek poznania naturalnego i instynktownego własnej nieśmiertelności? Próbuując odpowiedzieć na to pytanie musimy pamiętać, że najwyższe funkcje umysłu ludzkiego, a specjalnie funkcja sądu dokonywuje się w głębi świadomości organicznej i spontanicznej, która towarzyszy każdemu aktowi myśli skończonemu, dokonaniem. Ta świadomość spontaniczna naturalnie towarzysząca musi być starannie oddzielona od świadomości następczej. Drugi rodzaj świadomości, świadomość następcza zakłada uprzedni akt specjalnej refleksji za pomocą którego rozum kontroluje sam siebie i tworzy rozmyślnie koncepcje specjalne i refleksyjne sądy specjalne, opierając się jednak ciągle na tym, co się znajduje wewnątrz niego. Świadomość spontaniczna działa w zupełnie inny sposób. Wyraża ona tylko treść wewnętrzną samej sobie. Wyraża własne doznania tylko dla własnego umysłu; świadomość spontaniczna jest rozproszonym światłem refleksyjności, refleksyjności przeżywanego i wykonywanego, nieujętej w pojęcia. W głębi tej refleksyjności dokonywuje się każdy proces duchowy w duszy ludzkiej. Ale tego rodzaju spontaniczna świadomość przechodząc od naszych wewnętrznych aktów do ich podstaw rozciąga się coraz bliżej aż dochodzi do samego korzenia naszej duchowej akcji, dotyka ona tego korzenia jako czegoś niepoznawalnego z samej swej natury znanego tylko i to wystarcza w nadmiarze jako transcendentnego dla każdej akcji i każdego zjawiska psychicznego, które znajdują się kiedykolwiek w naszej świadomości spontanicznej. Ja, ja ponad doświadczenie jest tu osiągnięte w mroku ale pewnie przez świadomość spontaniczną. Mrok tego osiągnięcia płynie z braku jakiegokolwiek pojęcia i konceptualizacji, ma za to pewność bezpośredniego doświadczenia. To ponad doświadczenie doświadczenie własnego ja, doświadczenie nieujętej koncepcyjnie, ale praktycznie przeżyte przez umysł jest podstawową daną, stanowi skałę, na której się opiera nasza spontaniczna świadomość. Są przeciwieństwo rzeczy, które wiemy przed pomyśleniem o nich. Ta mroczna świadomość jest zawarta w każdym akcie skończonym naszej myśli do

czegokolwiek by ona się nie odnosiła. Kiedy refleksja filozoficzna formuje i wypracowuje ideę ja, osiąga ona przez tę ideę rzeczywistości, którą umysł ludzki już znał, znał za pomocą czystego i niewyrażalnego przeżycia, a które stara się odkryć po raz drugi.

Umysł ludzki wie także w ten sam mroczny ale pewny sposób, że to ponad doświadczenie ja uchwycone przeżyciem przez spontaniczną świadomość nie może nigdy zniknąć. Nie

może zniknąć właśnie dlatego, że jest uchwycone przez świadomość spontaniczną jako ośrodek, który panuje ponad wszelkimi zjawiskami, które przechodzą w następstwie obrazów i czasu. Innymi słowy ja rozumne, zdolne poznać własną egzystencję jest wyższe ponad czas. Wszystkie ujęcia i obrazy, które następują po sobie tworząc płynny obraz tego świata mogą zniknąć, jak to się z nimi dzieje w czasie snu bez marzeń. Ja nie może zniknąć,

ponieważ śmierć jak sen jest zjawiskiem w czasie, a przecie nasze mroczne przeżycie istnienia ja zostaje zawsze uchwycone jako będące ponad czasem. Takie żywe ujęcie, które nawet zostając niesformułowane, będąc raczej w stanie wyczuwania intelektualnego niż wyrażoną koncepcją, stanowi według naszego przekonania źródło instynktownego poczucia nieśmiertelności duszy ludzkiej.

tłumaczył J. H.

Maciej J Konowicz

Wierosze
(Ze zbioru »Wojna i Niepokój«)
List

Czy wiesz, co to jest przestrzeń na metry mierzona
I dzień, co się w obręczach kaleczy i męczy?

— Jedna noc, do której przytulę się można,
Jak na małej stacyjce do bufetowej poręczy.

Z zadumy zrywa mnie daleki gwizd pociągu
Znaczy — jest: świat poza jenieckim wymiarem

— Przemija coś, co nawet echem nie powraca,
Jak życie po celnym strzale.

O, maszynisto, pętlą rzucony między szyny,
Ciebie sen wieczny prowadzi melodią tunelów —
W lustrze twych martwych oczu stygnące dziewczyny
Czekają — na co? — może na sprzedaż biletów...

Nie doczekam, nie doczekam się pociągu,
Nie wyrwie mnie z tęsknoty żaden turkot i świst —
Snem wyrastam poza niewolę i wojnę
List — przebudzi mnie od Ciebie list.

Wiem, że błądzi gdzieś po szlakach obczyzny,
W cudzych dłoniach milczący jak głaz —
Ręce wyciągam w przestrzeń — dwie napięte szyny,
Które rozkuje z mgły i mroku — brzask.

Wiem dobrze, że powrócę któregoś dnia
Do Ciebie, pochylonej nad śpiwną kołyską —
Wojna? — to były strzały — list zaginiony — iza —
To... chyba — wszystko...

Kołysanka

Kołysały się morza dalekie,
Kołysały się lasy ogromne,
Nachylały się olchy nad wodą,
Nachylały się sny do zapomien.

Kołysały się chmury na niebie,
Kołysały się lzy pod powieką —
(Tak mi smutno, mój synku, bez ciebie
I tak bardzo do ciebie daleko).

Kołysały się trawy i zboże
(Nie widziałem cię nigdy, maleńki)
Kołysały się gwiazdy w jeziorze
(Nie wiesz, synku, co to znaczy tęsknić)

Powrót

To było wtedy, Panie,
Gdyś mnie z grzechu przebudził — ciosem:
Walka — i pożegnanie
I obce, zacięte niebios.

Tobie, ziemio spalona, naprzeciw
Idę oto, którym zgrzeszył — i odcierpiał
I Tobie, Panie, któregoż pożar wzniecił,
Patrzę w twarz ponad życiem i śmiercią.

Wieczność? — za trudno, nie pojmę —
Chodzi o rzeczy ludzkie, proste:
Czy dzwignę swe życie, czy dojdę
Do gruzów, które trawą zarosły?

Druga wolność

St. Ostrowskiemu

Mewo, mewo dwojaka: w błękicie i wodzie,
Przemnożona oczami, które patrzają w dół —
Nie dla nas horyzonty zamglone o wschodzie,
Przepełnione słońcem na pół.

Nam teraz — port wymarły i drzemiące wraki,
Nam — do oczu segmenty przewalonych aut,
Dal — zwinięta na szpulę perłowej Lubeki,
Czas — rozsnuty wachlarzem talii śliskich kart...

Druga wolność — muzyczna i daleka przystań,
Kołyszące okręty sześćioletnich snów —
Przecież trzeba ją wreszcie z tęsknoty rozwikłać
Marszem — twarzą na wschód.

Nasza jesień

Polska jesień jest inna,
Polska jesień — złociста —
Liście lecą za wiatrem,
Pod wiatr — krew bez nazwiska...

Drzewa w Polsce są trudne:
Sęki, garby skaliste —
Ciężko przybić na poprzek
Tarczę z brzozy i listwę...

Jesień śpiewna i barwna —
Dźwięki, brzęki spod łopat —
Czerwień, czerwien czerwona
Sierpień — Wrzesień — Listopad...

Spij-że, spij-że kolego,
Zostaniemy ci wtelni:
Jeszcze jesień niepełna,
Jeszcze został — październik.

Moje pokolenie

Na początku była biel i sny,
sny niemowlęcej abstrakcji —
póki mnie nie zbudziły bzy
i zapach ruskiej akacji.
Cerkwie, siemiączki, arbuzy —
i rozszczerzone słowo:
(nie pamiętam długiej podróży)
„Polsza z tobą — Polska z tobą”.
A potem — potem — werbel nóg
i pieśń rekrucka ponad brukiem —
aż się zwała pod sam próg
w o j n a
pieśnią i tłustym drukiem.
Przez okienko małej facjaty
— o mój rozmarynie —
siostry nasze rzucały kwiaty
— piosnce o Belinie —

Rosło życie drabiną świeżych laf
coraz prościej było na świecie —
dojrzał, tężał Młody las
i budziło się serce w poecie..
Spadałem czerwona różą
na drzące usta dziewcząt —
nadcigały wiosenne burze
znikąd — zewsząd —
Splywały pioruny po cytrze,
klebiły się gwiazdy w wirze —
póki w czyjeś oczy najczystsze
nie zajrzałem głębiej i bliżej...

I znowu biały, mleczny sen
nad córeczki mojej kołyską —
Była wojna — i niemy lęk
i motory huczały nisko.
Przyszła jesień w liściu
białoczerwonym
pieśń i serce uniosła mi walka —
Gruz zasypał rwący się płomień
i zamilkła Warszawa uparta..
Ponurą później pieśń mi grał
wiatr na cytrze o strunach
kolczastych
póki ostatni, głupi strzał
na ustach wojny nie zastygł...

Wracam, wracam, moja młā —
(podróż długa — rozszczerzone
słowo —)
Wiem, pisałaś, że synek mnie
wzywa..
(Polsza z tobą — Polska z tobą...)

Jan Dobraczyński

ODYSSEUSZ CHRZEŚCJAŃSTWA

Z wielu wrażeń jakie mi pozostały po ujrzeniu po raz pierwszy Wiecznego miasta, najsilniejszym są dwa. Pierwsze z Triclii pod murami bazyliki S. Sebastiana na via Appia Antica — stanowiącej resztki dawnej świątyni wzniesionej na ruinach domu Quintusa Hermesa, w którym przez pewien czas leżały ich zwłoki Sciany Triclii pokryte są setkami drobnych napisów łacińskich i greckich. Gdy oprowadzający nas rękodzielnik zapalił światło — białe słowa zarysowały się wyraźnie na złotym kamieniu. Są to niekończące się błagania: Pawle i Piotrze módlcie się... Piotrze i Pawle wspomnijcie... Modlitwy, które przetrwały wieki.

W parę dni potem byłem w galerii Borghese. Jak oczarowany szedłem między obrazami i posągami, potracany przez niedzielną tłum Włochów. Jeden z obrazów przykuł moją uwagę, kazał mi stać przy sobie długą chwilę. To było tak nieznanne w reprodukcjach, a tak wstrząsające „Nawrócenie się Szawła” Caravaggio. Obraz ciemny w tonie, „kameralny”, pozbawiony tła. Ogromny, łaciąty koń spuścił głowę i zdaje się coś wahać. Trzyma go na pół zakryty starszy mężczyzna. Na pierwszym planie pod koniem leży Szawel — młody człowiek — leży wyciągnięty niebywale spokojnie i tylko bezsilnie — bardziej bezsilnie niż Adam na płonionym kaplicy sykstyńskiej — a przecież inaczej — wyciąga ręce do swego Zbawcy. Czuje się, że ten człowiek spadł i już się pogodził z tym upadkiem. Nie ma w nim nic z czym by chciał walczyć. Życie przełamało się dla niego w „dwie wielkie połowy”. Dawność odchodzi wolno, niedowierzająca jak ten koń. Na przyszłość czeka z poddaniem.

Szawel — Paweł Kimże nie wstrząsnęła ta niebywała postać? Myślę, że wszyscy gwałtownicy, wszyscy, którzy zapragnęli w jakimś samotnym niezapomnianym wieczór oddać Bogu „wszystko” — mają za patrona tego Żyda z rodu Beniamina, faryzeusza ze szkoły Gamaliela, przesładowcę, a potem Apostoła Kościoła, stygmatyka i mistyka, misionarza pogan. Odysseusza chrześcijaństwa. Tylko, że do ludzi przemawia jak zwykle najłatwiej strona zewnętrzna zjawiska świętości: grom na drodze do Damaszku, stos w Rouen, przygoda z wilkiem z Gubbio... Ludzie zapominają, że właściwe misterium „metanoi” dokonuje się w głębi duszy tam, gdzie promień łaski walczy z porywami grzechu. Grom spada na zakończenie pewnego procesu, stos zapala się, by zamknąć dokonane dzieło. Jakżeż mało wiemy o naszym bohaterze, skoro wiemy tylko, że pewnego dnia i roku stracił go z konia piorun światła, a on stał się od razu zupełnie innym człowiekiem. Czy to wystarcza, aby zobaczyć tego człowieka — w całym bogactwie jego przeżyć — w jego zawrotnej drodze od zhellinizowanego portowego miasta, poprzez ponurą, groźną Jerozolimę, przez kwiecistą oazę Damaszku, pustynię arabską, Antiochię, Cypr, Efez, przez słoneczną agorę Aten, złoty ogrom wiecznego Rzymu — tej nierządniczy na siedmiu pagórkach — po „kraniec zachodu”, i od stosu piaseczków przy placu kaźni Szczepana do niebywałej wyprawy „aż do trzeciego nieba”. Łaska nie niszczy natury, ale pozwala ją kształtować. Człowiek, który pewnego dnia wypłynął z domu rodzinnego w Tarsie, posiadając w swoim worku podróżnym jedynie obywatelstwo rzymskie, wyładował w wiele lat potem na Aquae Salviae z obywatelstwem Królestwa Niebieskiego w ręku. W naturze nie ma skoków, a pamiętamy, że i życie święte

należy do natury. Musi więc istnieć nieprzerwana ciągłość psychiczna pomiędzy Szawłem i Pawłem. Paweł tkwił już w zawiązku w Szawle, Szawel musiał przeżyć w Pawle, aż do ostatniego dnia odysseuszowego rejsu.

Wydaje mi się, że potrzebniejszą jest analiza tych przemian, niż niedosiężny komentarz cudu na drodze do Damaszku. My ludzie, żarliwi ścigacze człowieczeństwa, schylamy głowę przed cudem, lecz nieustępliwie domagamy się prawa wkładania palicy w Rany Boga - Człowieka. Wyrzut Chrystusa dotyczył tylko niewiary Tomasza, Rany ludzkiego serca, przebitego włócznią Bożego Miłosierdzia, nie są dla nas zakryte. Wierząc, wolno nam ich dotykać. Żle jest nawet, że ich tak mało dotykamy. My — tak zwani artyści, tak zwani literaci katolicy...

Ten Szawel - Paweł był tylko człowiekiem, któremu danym było poznać „ile będzie musiał wycierpieć dla Mojego Imienia”. Był — podobnie do wielu — obywatelem starożytności i żeglarzem morza Śródziemnego. Lecz także był „wiecznym człowiekiem” — normalnym okazem ludzkich słabości. Należał do swojej epoki. Ale epoki są tylko przypływami i odpływami morza ludzkości. W monotonnym ruchu wód nawet tak wstrząsające zjawisko, jakim było przyjście na świat, życie i śmierć Jezusa, nie spowodowało zakłóceń. Człowiek pozostał taki sam, jaki był: dalej poddawał się rytmowi zamierającej epoki lub rozpoczynał szaleńczą awanturę.

2

Wiek pierwszy naszej ery jest wiekiem końca i dopiero gdzieś pod ziemią pomrukującej rewolucji. Ziarno Słowa dopiero kiełkuje. Na powierzchni imperium rzymskiego wyspy chrześcijaństwa są równie nieliczne, jak materia w przestrzeni międzygwiazdowej. Poza nim atmosfera jest gęsta i ponura. Rozkłada się w niej myśl starożytności, materializm tamtych czasów. Dwa ostatnie jej oblicza to epikureizm i stoicyzm. Epikureizm? Bez wielkich naciągnięć można go nazwać dzisiejszym mianem egzystencjalizmu. Wszystko powstało z chaosu i cech chaosu nie utraciło. Pozostaje więc jako jedyny sens egzystencji — życie i rozkosz. Stoicyzm nie jest w zasadzie niczym innym. Także przyjmuje za rzeczywistość jedynie dotykalne zmysłowo rzeczy. Ale ratuje się od rozpaczliwej przybierania postawy heroicznej. Niekonsekwentnie każe człowiekowi wierzyć w zbawczą siłę gestu, słowa, postawy. Skazuje swych wyznawców na byt wyłącznie materialny, przemawia do nich terminami zaczerpniętymi ze słownika spoza Styksu.

W takiej to epoce rozkładano się prymitywnych materializmów, w epoce drżącej — niby bombą atomową — falami barbarzyńców, przyszedł na świat Szawel. Był obywatelem rzymskim, wychowanym w atmosferze greckiej, ale także Żydem i faryzeuszem z krwi, z przekonań, z wiary.

Będąc Żydem — a do tego faryzeuszem — był najzawziętym nacjonalistą tamtych czasów. Znowu pozwalał sobie na współczesny wyraz. Ale nie zapominajmy, że w mieszaninie, jaką tworzyło imperium rzymskie, jeden naród żydowski chciał pozostać sobą, w synkretyzmie myśli i religii materializmu, tylko jeden naród żydowski uporczywie trwał przy jednym niewidzialnym Jahwe, który rządzi światem i prowadzi naród wybrany. Nacjonalizm

to poczucie „imności”. Naród żydowski tamtych czasów czuł się inny. We krwi nosił świadomość swego wybrania, swej misji. Wiedział, że on jeden zna Prawdę. Nie spozostregł, że ta Prawda już uleciała, że stała się własnością wszystkich. Jeszcze sądził, że ją ma, jeszcze zazdrośnie strzegł jej przed innymi.

Tak musiał myśleć i Szawel. Nie wierzył w zwycięstwo Prawdy inaczej, jak poprzez zwycięstwo swego narodu. Któż z nas nie przeżywał takich złudzeń? Kto z nas nie był chociaż przez dzień nacjonalistą? Nacjonalizm można przeżyć, ważne jest tylko, aby w nim nie skostnieć. Tragedia nacjonalizmu zawiera się nie w tym zresztą, że jest złudzeniem, lecz w tym, że rozrósł się w teorię obala własne założenia. Zrodziwszy się z pragnienia, aby przez wielkość narodu służyć Sprawie, ofiarowuje wszystko tej wielkości, wszystko — nawet samą Sprawę.

Takim to nacjonalistą musiał być Szawel. Kochał swój naród całym swym gorącym, namiętnym sercem. Kochał go jak Mojżesz, który za niego ofiarował swe życie i swą wielkość. „Pragnąłbym — powie — sam być skazany na zatracenie daleko od Chrystusa za braci moich, którzy są krewni moi według ciała, którzy są Izraelici...” A przecież ten sam człowiek stanie się kiedyś apostołem pogan, bojownikiem o powszechność, o katolickość Kościoła, wyklętym od swoich, świętym dla tej klątwy...

3

Człowiek, który się urodził w Tarsie w pierwszym dziesiątku lat pierwszego wieku, był nie tylko wyznawcą pewnej idei. Nie był wiotkim, chwiejnym człowieczkiem, który idzie w tłumie. Był jednym z gwałtowników, którzy porywają Królestwo Niebieskie. Potrafił kochać — jak potrafił zresztą i nienawidzić. Nie należał do „letnich”. Ale też „letni” nie stają się zwykle „gorącymi”. Dlatego mówi Apokalipsa: „obys był zimny albo gorący...” Szawel był „zimny” i dlatego spadł na grom łaski. Stał się wtedy „gorący”, tak gorący, że palił otoczenie. Stał się ogniem, lawą gotującą, wulkanem wiecznie czynnym. Oddał sprawię całego siebie — bez reszty. Gwałtowny, pełen uczuć i niepohamowanej niczym energii (jakimże obrazem tej duszy są dyszące zapale, rozrywane dygresjami i wybuchami listy) musiał czuć w sobie „kolec szatanu”, by pozostać przeciwieństwem. Ten tajemniczy „kolec”, to gwóźdź przykuwający Pawła do ziemi. On każe pamiętać Pawłowi, że nie zakłada on swego kościoła, ale Kościół Chrystusowy. Ludzie podobni do Pawła zdolni są wstrząsnąć światem. Dlatego trzeba im pamiętać, że robią to rękoma niezrozumiałe słabymi. Człowiek nieświęty może się ludzi, że jest silny. Człowiek święty musi wiedzieć, że jest bezsilny. Napoleonowie nie potrzebują takich „koleców”. Pawłowie, muszą je mieć.

Ale Paweł jest nie tylko gwałtownikiem. Intuicja tego człowieka ma w sobie coś czarodziejskiego. Dziś się mówi, że Paweł rozumiał potrzebę uniwersalizmu Kościoła. Nie — on ją czuł. Nie doszedł do tego odkrycia na pewno na drodze logicznych rozważań. Stało ono przed nim od razu, jak przed artystą staje nagle — w jednym błysku — kształt mającego być stworzonym dzieła. Ludzie, jak Paweł, wychodzą zawsze przed szereg i z nieomylną pewnością siebie, ciągną za sobą cały tłum. Jednakże Paweł nie był wodzem tłumy. Na czele tłumy stał Piotr: ten niedomyślny uczeń, zapa-

leniec bez wytrwałości chodząca poczciwość i chodząca słabość. Na nim przecież został zbudowany Kościół. On Szymon został Opoką, Piotrem. On miał wieść tłum, nie Paweł. Paweł mógł być tylko buntownikiem.

Cóż za temat dla kogoś, kto po ludzku, po literacku chciałby spojrzeć na ten pierwszy „konflikt” w Kościele!

Paweł był lepszym może żeglarzem, ale Paweł bez Piotra byłby zatopił łódź Chrystusową. Jeden został stworzony by budować, ale drugi został wyznaczony, by nad budowlą czuwać. Taka jest wieczna zależność świętych-gwałtowników i hierarchii kościelnej. Herezja zaczyna się tam, gdzie się ta zależność kończy. Świętość zaczyna się tam, gdzie ta zależność prowadzi do posłuszeństwa. Święci wygrywają nie buntem, ale ofiarą. Oddają się w ręce Kościoła, a Kościół przyjmuje ich ofiarę, czyni ich nauką — swoją nauką.

Paweł był buntownikiem, ale buntownikiem świętym. On, który „zgroził” Piotra, był mu zawsze poddany. I choć nie umarł jednego dnia, jak pisze Sienkiewicz, choć Piotr zginął pierwszy na wzgórzu Watykanu i tam leży, zaś Paweł zginął później za murami miasta i za murami pozostał, choć ich ciała spoczywają pod dwóch stronach Tybru — są przecież jednym. „Quamquam diversis diebus potenterur — napisze św. Augustyn — unum erant” (Serm. 259).

4

Do tego człowieka, który potrafił przewalczyć w sobie nacjonalizm i który potrafił spełnić swe gwałtownictwo, pociągało mnie coś od dawna. Szukałem po przez listy i po przez opowieść „najmilszego lekarza” Łukasza. Wraz z Pawłem wędrowałem przez surową wyżynę Judei, gwarną Antiochię, dziki łańcuch Taurusu, z nim wypływałem na morze, na fantastyczną, odysseuszową wyprawę. Nie tylko Homer — więcej, może Paweł powiedział mi, że „navigare necesse est”. Pawła szukałem także w książkach. Jest ich kilka: stary poczojwy Fouard, zwięzły, finezyczny Prat, pełen śmiałych stwierdzeń Pieper. W czasie wojny oślnił mnie „Paulus” Holznera. Upiłem się nim jak winem. Karbidówka syczała i mrugała za zasłoniętym czarnym papierem oknem, huczały groźnym przepływem auta — ja wędrowałem z moim bohaterem przez „czarne” morze od rodzinnego Tarsu do bogatego srebrem Tersu nad Gwadalkiwirem.

Wiedziałem, że powstaje jeszcze jedna książka o Pawle. Pisał ją autor „Procesu Chrystusa”, „Ewangelii” i „Chrystusa” ks. Eugeniusz Dąbrowski — pisał od lat, zwiędzając z zaciętrzewieniem rasowego badacza cały szlak Pawłowych wędrowek. Kładąc stopy w ślady stóp Pawła. Miał nade mną — jeśli tak można powiedzieć — przewagę po pierwsze jako bibliista, a po wtóre jako ten, który czytał „Dzieje Apostolskie”, na górze w Atenach, wdychał ostry wiatr co miota jesienią okrętami między Małtą i wybrzeżem afrykańskim, który pił wodę z trzech źródeł kościelka na Aquae Salviae. Niestety — musiałem mu odstąpić „mego” Pawła, imnego co prawda, niż się go widzi na obrazkach: łysawego, z „filozoficzną” brodą, takiego trochę, jakim go opisują Acta Pauli et Teclae. Może nie odstąpiłem mu go zresztą na zawsze: trudno mi jest, wyznając, wyrzec się tego człowieka, który w ten porównujący sposób potrafił przekreślić w sobie ślepią miłość do swego narodu, który potrafił być jednocześnie wielkim i pokornym, i który

wreszcie żył, trochę jak ja sam, jednocześnie — lękiem i tęsknotą przez strzeżeni...

Leżą przede mną „Dzieje Pawła z Tarsu” ks. Dąbrowskiego. Przekładam stroną za stroną, konfrontuję „swego” Pawła z Pawłem, którego zrekonstruował autor.

Zacznę od nuty zawodu. Książka jest w pełnym pojęciu tego słowa dziełem naukowym. Autor chciał nam dać wszystko, co wiemy o św. Pawle — i niewątpliwie zdumieni jesteśmy jego rozmachem odkrywczym. Natomiast nie dał, nie chciał dać tego, co się nam o Pawle wolno domyślać. Podkreślił: nie chciał dać, ponieważ wiem — znając jego dawniejsze książki i ciesząc się od dawnych lat jego przyjaźnią — że potrafi być doskonałym psychologiem. Zresztą nawet tutaj dał tego dowód omawiając w kilku zaledwie, lecz doskonałych rysach sylwetkę „słodkiego” Gallia prokonsula Achai (str. 283-4). O Pawle jednak tym językiem nie chciał mówić. Zaledwie wspomniał — nie wychodząc z ram konwencji — o przewalczonym nacjonalizmie! ograniczył się do minimum w opisie i charakterystyce konfliktu Piotr — Paweł, nawet nie wspominając, że istnieją próby odszukania jego ech w każdym nieomal liście Pawła (np. fantastycznie ciekawa, choć bojowo antykatolicka praca o Pawle D. Merezkowskiego. Schematycznie tylko omówił „kolec szatanu” — chorobę Pawła — składając się do hipotezy, że chodzi tu o malarię; po prostu drażniąc obojętnie, bez żadnego komentarza, przeszedł nad siłą woli Pawła wyrażającą się zwłaszcza w momencie gdy ukamienowany w Lystrze i pozostawiony już jako nieżyjący pod stołem kamieni Apostoła, zdołał przecieć, po ocuceniu, następnego zaraz dnia zawędrować do odległego o kilkadziesiąt kilometrów Derbe; pominał w ogóle milczeniem sprawę ewentualnej stygmatyzacji Pawła.

Ks. Dąbrowski dał w książce to tylko, co jest niewątpliwą zdobyczą nauki. Przyznaje, mówiąc o samoobronie Pawła w drugim liście do Koryntian:

„Dzieje Apostolskie” obfitują w momenty prześladowania go (Pawła) ze strony Żydów, czy lokalnych władz rzymskich. Kamienowanie w Lystrze, uwięzienie i bicowanie w Filipach, prześladowania w Damaszku, w Jerozolimie, w Antiochii Pizydyjskiej, Ikonium, Tessalonice, Berei, Koryncie i Efezie, tworzą bardzo urozmaicone obraz trudności, jakich doznawał w swej pracy apostołskiej. Nic nam niewiadomo jednak, kiedy znalazł Paweł, aż trzykrotnego rozbicia się okrętu, a w jakich okolicznościach noc całą i dzień spędził na głębi morskiej oraz gdzie, miały miejsce chłosty z ręki Żydów, czy pogan. Te szczegóły, wspomniane prawie nawiasowo nakazują wielką ostrożność w historycznej rekonstrukcji biografii Pawła. Okazuje się bowiem, że „Dzieje Apostolskie” nawet łącznie z listami dają w rezultacie niezupełny obraz zdarzeń jego życia. I to pomimo bogactwa materiału, jaki zawierają...”

Postawa naukowa zwyciężyła postawę psychologa.

Jeżeli jednak ks. Dąbrowski nie chce być sam odkrywcą rzeczy niepewnych i stawiać hipotez wydobytą przecieć z posiadanych materiałów tyle zdumiewających wiado-

*) Ks. Eugeniusz Dąbrowski „Dzieje Pawła z Tarsu” — skład główny: Oficyna Księgarska, Warszawa, Marszałkowska 34 — Warszawa 1947, str. 634.

mości, że ten materiał staje się natychmiast źródłem zasłajającym fantazję czytelnika. Na podstawie listów tworzy postać Pawła, dającą się scharakteryzować następującymi słowami:

„Była to natura pełna przeciwności i wręcz paradoksalnych nastrojów. Psychiczna depresja łączy się u niego z niezwykłą odwagą, pokora z dumą, wyniosłość i gryząca ironia wobec przeciwników z matczyną niemal serdecznością w stosunku do swych wiernych... Powyższe paradoksy w charakterze Pawła, owe przeciwności, tak barwne i znamienne byłyby wprost nie do pomysłienia u natury biernej. Paweł-chrześcijań, wykorzystał tylko te dane naturalne, które posiadał za czasów swej przynależności do faryzeizmu... nawet gdyby życie jego zamknęło się w ciasnych ramach faryzeizmu, nie upływałoby spokojnie, bez głębokich wstrząsów i wybuchów temperamentu. Chrześcijaństwo nie zatarło w nim tych naturalnych rysów, jedne z nich potęgując, inne łagodząc, a wszystkie zarówno wciągając w służbę Ewangelii... Do wspomnianych zasadniczych cech charakteru Pawła tłumaczących nam jego osobowość i w części przynajmniej zdradzających tajemnicę powodzenia jego misji, należy zaliczyć również trzeźwy realizm, którego bynajmniej nie wyklucza mistyczny nastrój spływający z jego piśm...”

Ks. Dąbrowski omawia także szczegółowo i klasyfikuje listy Pawła. Jedne z nich są listami w pełni tego słowa, tętniące od wybuchów, nastrojów i dygresji. Inne — jak list do Rzymian — są traktatami. Jeszcze inne — listami pasterskimi. Ks. Dąbrowski stwarza obraz przyczyn, które wywołały każdy list. Tutaj — a już zwłaszcza gdy przychodzi mu zwalczać odmienne stanowiska i poglądy innych uczonych — dochodzi w nim do góru pełen temperamentu, swady i zapалу polemista. Np. wywód, że list do Żydów jest listem Pawła, czyta się, jak jakiś epicki obraz batalii. Czarem książek Dąbrowskiego jest to, że potrafi nas zainteresować sporem naukowym, ba, nieomal rozpasionować. Umie zdobywać się na wspaniałe „odskoki” myśli — jak choćby ten:

„Pisząc go (list do Rzymian) Paweł z pewnością nie przewidywał, że interpretacja jego pisma w dalekiej przyszłości stanie się punktem wyjścia dla ruchu religijnego, który kraje całe oderwie od rzymskiego Kościoła. Młody Luter w atmosferze tego listu wykładał swą broń, aż w końcu stworzył system teologiczny w oparciu o pojęcie usprawiedliwienia. System ten jest tak ponury i zamglony, jak i kraje, w których doznał on przyjęcia”.

Dla ks. Dąbrowskiego mniej ważną jest zresztą sprawa doktryny Pawła. Przyjąwszy układ chronologiczny listów i wydarzeń, nie rozwija szerzej ani teorii Organizmu Mistycznego, ani uniwersalizmu, ani wolności, ani stosunku do prawa Mojżeszowego, ani teorii „świętości” (to o czym pisze Mereżkowski): „wszyscy bracia członkowie Ciała Kościoła Chrystusowego są jednakowo święci dla Pawła, chociaż w sposób różny: pozostawać w Kościele w

Ciele Chrystusa, to znaczy dla niego być świętym...”). Każdej z tych spraw ks. Dąbrowski poświęca krótkie, lecz treściwe omówienie na marginesie danego listu czy wydarzenia.

Są to więc naprawdę dzieje Pawła. Jeżeli chodzi o wprowadzenie w życie Apostoła jest to metoda niewątpliwie najlepsza. Książka jest pobudzająca, zapładniająca, twórcza. Każdy kogoś św. Paweł pociąga, znajduje w niej punkt wyjścia dla swoich rozważań. Naukowca zainteresuje może sprawa czy rzeczywiste listy do Efezjan jest listem do Laodyceńczyków. Teolog znajdzie tu zawiązek wszystkich konfliktów i tez t. zw. paulinizmu. Psycholog zainteresuje się człowiekiem, który potrafi być jednocześnie realistą i mistykiem, przy tym zrozumie może, że mistyczny nie jest przeciwstawieniem do rzeczywistości — istnieje bowiem rzeczywistość poza tym co można zwać lub czego się dotykamy namacalnie” (Prat). Niecierpliwy poszukiwacz świętości, dzięki tej książce dotrze do „Dziejów Apostolskich”, do listów, do Ewangelii.

Jeżeli do czego mógłbym porównać książkę ks. Dąbrowskiego to — sięgając zresztą do innej zupełnie dziedziny — chyba do „Genealogii Piastów”, Balzera. Dziwiłbym się gdyby „Dzieje Pawła z Tarsu” nie stały się pobudką do powstania jakiegoś utworu literackiego.

6

Ale książka ma jeszcze jedną wspaniałą cechę. Jest to studium nie tylko napisane, lecz także widziane. Wspominałem, że ks. Dąbrowski zbierał do niej materiał wędrując szlakiem Pawła wokół i w poprzek morza Śródziemnego. Dlatego też to, co widzimy w książce nie jest jakimś suchym opisem z opisu, czy też impresją z map i fotografii. Więcej nawet autor, jak się zdaje, pojął iż Pawłowe wędrowki mały w sobie coś ze zjawisk nadprzyrodzonych. „Biada mi jeśli bym Ewangelii nie opowiadał!” Jakaś nieugaszona tęsknota za przestrzenią popchnęła nagle tego rzemieślnika z Tarsu i faryzeusza z Jerozolimy, ku niebywalej morskiej awanturze. Na tysiąc trzysta lat przed nim na morzu Śródziemnym zawieruszył się inny człowiek, zaś dzieje jego tułaczki stały się poematem świata. Czy Odysseusz „ptoliporthos” żył naprawdę? Czy naprawdę przeżył swe kolorowe przygody? (Żle mówię kolorowe: Grecy Homera musieli być częściowo daltonistami; dla nich wyraz „glaukos” oznacza tak samo zielony, jak i niebieski kolor). Victor Berard twierdzi, że Odyssea została po prostu skomponowana na podstawie znajomości „periples” — fenickich przewodników morskich. Otóż w tych to przewodnikach znaleźć można każdą z fantastycznych miejscowości Odyssei. Wyspa Circe — to Monte Circeo — skała na pld. od Rzymu otoczona częściowo morzem, a częściowo błotami, pontyjskimi, porośnięta bukowym lasem. Wyspa Kalipso - Nesos Kalupsous — mała wyspka obok Gibraltaru. Cyklopi — ludzie o „oczach okrągłych” mieli swe siedziby na pld. stronie zatoki neapolitańskiej. Wyspy Syren — to trzy odpryski skalne w przedłużeniu półwyspu Sorrento...

Świat Odyssei leży na mapie morza Śródziemnego — ten świat walki z groźnym żywiołem, z ludzką słabością i z nieugaszoną tęsknotą. Czyż na inną wyprawę wypływał Paweł?

„Wypłynięcie statku na morze to przecież rzecz zwykła dla portowego miasta. A jednak statek ten wiozł zaczyn, który w religijnych dziejach ludzkości jest punktem zwrotnym i wyrazem największej rewolucji, jaka się kiedykolwiek dokonała. Historia nie przechowała nam jego nazwy. Wszyscy znamy nazwę karaweli Kolumba i z zapartym tochem śledzi-

my posuwanie się „Santa Maria” na zachód pod dowództwem genialnego Włocha, na usługach Hiszpanii. Ten statek cypryjski, zasługiwałby na to, aby nazwa jego została przekazana potomności, nie mniej niż nazwa karaweli Kolumba: światowe bowiem znaczenie podróży (Barnaby i Szawła) nie jest mniejsze od tej, którą przedsięwziął bohaterki Genueńczyk...”

Ale nie zwiód Penelopy, lecz widzenie błagającego o pomoc Macedonczyka kazało mu odpłynąć pewnego dnia z azjatyckiego brzegu — właśnie z portu Troas, będącego śladem dawnego portu Illionu. Paweł popłynął na morze Egejskie, ku pokusom i zwojęstwu. Płynął do Koryntu, który był bardziej groźny niż wyspy Circe „Kult Venus vulgivağa... czynił z Koryntu miasto rozkoszy w specyficznym znaczeniu, do którego zdążyli nie tylko marynarze i handlowcy, ale przeżył sceptycyzmem i żadni użycia Grecy i Rzymianie...” Ten sam Korynt będzie dla Pawła jedynym miastem pokoju — dłuższego pokoju — niby wyspa nimfy Kalipso — „jednym z tych niekolejnych miast, które Paweł opuszczał do browolnie w momencie już nie tylko rozpoczętej, ale w pewnym względzie zakończonej pracy”. Płynął na przeciw Cyklopów, od których „wziąłem pięć razy po czterdzieści plag bez jednej. Trzykroć byłem smagany różgami, raz byłem kamienowany, trzykroć doznałem rozbicia okrętu: cały dzień i całą noc byłem na głębi morskiej...” Nie między Scyllą a Charybdą ale między Kretą a Maltą groziło mu straszliwe niebezpieczeństwo pochłonięcia przez morze.

Zresztą zobaczył także prawdziwą Scyllę i Charybdę oraz ziemię Cyklopów, gdzie są:

...i łąki łagodne, a na nich biegały koniki,
aż do wybrzeża: winorośl młaba,
grona tam bujne;
są tam i łąny ugrne, płaskie...

Było to, gdy po raz pierwszy dobił brzegów Italii.

„W Regium zatrzymano się jeden dzień prawdopodobnie dla zabrania jednego marynarza doświadzonego, który by zdołał przeprowadzić okręt przez niebezpieczne wody cieśniny. Biegnące w różnych kierunkach prądy morskie tworzyły w niej już w głębiej starożytności tak niebezpieczne dla żeglugi wiry, że klasycy tu pomieszczają słynne podania o Scylli i Charybdzie. Tylko doświadczony marynarz mógł przez zrzecze lawinujące okrętem uniknąć Scylli, nie wpadając jednocześnie na Charybdę. Płynąc wciąż ku północy okręt zdążył do położonego w pobliżu Neapolu Puteoli...”

Paweł płynął więc i koło wysp Syrenich — ale nie potrzebował zalepiał uszu. Prowadziła go bowiem bardziej nieugaszona tęsknota niż niegdyś żalostnego króla Itaki. Ta tęsknota sprawiła, że, jak pisze Klemens Rzymski, w liście do Koryntian „stał się Dobrym Nowiny zwiastunem na wschodzie i zachodzie”. Okrył się sławą promienną wiary swojej. Sprawiedliwości uczył świat cały. I zeszedł na krańce zachodu...” Jeśli wyspa Kalipso leżała naprawdę koło Gibraltaru to i ją zobaczył święty Włóczęga. Ale i jej czarowi nie uległ. Żył bowiem niecierpliwością drogi.

Niecierpliwość drogi! W czym sercu wzbudził ją ten drugi Odysseusz, ten nigdy nie potrafił zaznać swia domości, że jego rejs został ukończony. Odysseusz z bajki umrze na swym nie dającym się poruszyć łodzi, w rodzimym łacie. Odysseusze prawdziwi umierają zawsze w drodze...

Jan Dobraczyński

Zygmunt Wasilewski

PRZEDMOWA*

Daty, zaznaczone pod każdym zarysem w tryptyku (Ptaki — O duszy narodu -Salus rei publicae — 1940 — 1942) tłumaczą autora, dlaczego myśl jego, nie zrażając się swoją nieporadnością, tak uporczywie krążyła koło podstawowych zagadnień życia. Swat się zamroczył i znaleźliśmy się, jak wędrowiec w górach, zneruchomiony gęstą mgłą gdzieś nad przepaścią. Dla myśli pozostało jedynie iście rekolekcyjne wnętrze świadomości i sumienia.

Złączyłem te trzy obrazy w jedną całość, istotnie bowiem wynikały one jeden po drugim z jednego zamyślenia, chociaż óżnią się charakterem w zależności od kąta widzenia, z którego ten sam światopogląd ujmowałem. Pierwszy z nich można by nazwać widzeniem czuciowym (poetyckim), drugi — filozoficznym, trzeci — etycznym.

Potrzeba myślenia o duszy narodu ma w tej krytycznej dobie swoje źródło w poczuciu, że przyszłość Polski zależy od tego, czy zdążymy na czas załatwić się ze swoją „maturą”, czy dojrzejemy jako osobowość dziejowa tak szybko, aby Polska mogła sprostać swej roli wśród narodów przodujących w cywilizacji europejskiej. Nie ostoi się odtąd żaden naród, który nie weźmie na siebie z całą świadomością krzyża odpowiedzialności za swój los i za los cywilizacji. Tu tkwi istota suwerenności narodu w znaczeniu politycznym.

Czy gotowi jesteśmy do tego egzaminu? Niech te moje rozmyślenia będą pomocne do rachunku sumienia.

Minęły czasy infantyliizmu narodów, czekających obcego najeźdźcę, który by nimi pokierował, a potem liczących na traf, że znajdzie się dobra dynastia, która by się zgrała z bezwiednym żywiołem etniczym. Dziś naród ze swej żywiołowości dobywać musi spontanicznie swoją myśl przewodnią, musi być jednomyślny i solidarny w sprawach dobra publicznego. Przyswiecały nam szczęśliwie idee Piastów i Jagiellonów, ale gdy i dynastie anarchii naszej się nie oparły, nie było już skąd myśli dziejowej czerpać; z podmiotu dziejów zeszedł do roli podmiotu, którym igrał uzurpator.

Poddać więc trzeba rewizji swoją świadomość, swoje sumienie, swoją ideowość. Nie można się nauczyć życia teoretycznie, ani budować przyszłości na doktrynie; jedyna droga, zharmonizować wewnętrznie z instynktami narodowym, dar myślenia i odpowiedzialnego władania losem.

Wiem, że pisząc w tej chwili przedmowę, piszę właściwie list do czytelnika, aby go przeprosić za fatygę i zjednać do wspólnego z autorem przemyślenia porusz-

nych w książce zagadnień. Można nie pisać przedmowy do książki czysto naukowej lub czysto beletrystycznej, bo prawdy przedmiotowe w nauce albo subiektywne z poczucia artystycznego — mają w sobie coś bezwzględne, pozaosobiste; do spraw życia każdy ma swój dostęp osobisty. Pragnąłem ten dostęp ułatwić, bo nie jest on łatwy do ujęcia rozumowego, gdy chodzi o zjawisko tak złożone psychicznie, jak życie narodu. Osiągnięty on być może tylko całą duszą, gdy intelekt pogodzi się z uczuciem i wola tego pogodzenia dokonywa sumienie.

Na tym właśnie polega rekolekcyjność moich uwag. Nie nastaje na niczyje przekonania społeczne czy polityczne, chodzi mi o to, aby czytelnik zgodził się ze mną na jedną prawdę: że człowiek za czyna się dopiero od poziomu swego sumienia i że tym więcej jest wart, im szersze kręgi środowiska sumienie obejmuje. Ono stanowi syntezę człowieka przez to samo, że daje mu naturalne połączenie z duszą narodu. Ta prawda leży w zakresie „historii naturalnej” człowieka.

Żeby znaleźć miejsce na świecie dla swego narodu, trzeba wpród znaleźć miejsce w narodzie dla człowieka, aby wraz ze wzrostem osobowości narodu nie ztracił swojej indywidualności, lecz owszem, aby przez ten związek z narodem obie te indywidualności (jednostkowa i zbiorowa) wzajemnie się potęgowały.

Metoda mojego patrzenia na zjawiska psychiki narodowej jest naturalistyczna, pozwala ona bowiem mieć na oku zawsze całego człowieka z jego żywą siłą twórczą, a zarazem pozwala zakreślać życiu narodowemu takie ramy, w których by wszystko, co jest w narodzie siłą pozytywną, znalazło miejsce dla swego rozwoju. Te ramy przy tej metodzie nie odcinają człowieka od jego instynktów, w których leżą podstawy jego możliwości twórczych, a z drugiej strony te ramy nie odcinają człowieka od jego perspektyw metafizycznych.

Nie miałem zamiaru pisać traktatu. Spostrzeżenia dokonywane nad swymi myślami notowałem bez pretensji do systemu. Zaczęło się od żywych skojarzeń wrażeniowo - uczuciowych podczas po bytu na wsi i te podaję na początek bez uchybienia swej metodzie. Końcowy szkic napisałem okolicznościowo z myślą o złożeniu wieńca pod posągim „nieznanego dziennikarza”. Na ogół jednak muszę wyznać, że w swych rozmyśleniach o istocie życia psychicznego poczułem się w tak zawiłym labiryncie zagadnień, że gdyby nie pomoc ze strony idei religijnej, która mi była nicią przewodnią, nie uszedłbym potworowi zwątpienia. Zrozumiałem znaczenie starożytnego mitu o nici Ariadny, jako że miłość utajona w energii życiowej, jest przewodnikiem przez labirynt bytu. Nie uporałem się jednak z trudnościami i pracy należyście nie wykończyłem z powodu niekorzystnych warunków fizycznych, jeśli już nie brać w rachubę innych...

Zygmunt Wasilewski

Kwitujemy:

Kwitujemy: na fundusz Opieki nad Grobami Powstańców „I Miejskie Gimnazjum Liceum im. T. Kościuszki w Łodzi” — 3.525 zł.

Czytajcie

„SŁOWO POWSZECHNE”

*Niniejszy urywek jest przedmową do ostatniej, napisanej podczas wojny książki Z. Wasilewskiego p. t. „O sposobie pojmowania psychiki narodowej”. Z książki tej drukowaliśmy dotychczas dwa fragmenty. Dzięki łaskawości Autora będziemy drukowali ich więcej.

Wojciech Kętrzyński

W OCZACH CUDZYCH I WŁASNYCH...

(Na marginesie ataku „Kuznicy”)

Głośny już dziś atak „Kuznicy” na twórczość literacką Jana Dobraczyńskiego był niewątpliwie przyczynkiem szeroko zakreślonej akcji. Chodziło najpewniej inspiratorom tego wystąpienia, by jednocześnie z szeroką akcją propagandy przyjaźni polsko - sowieckiej wykazać dobitnie kto i jakim sposobem, zdaniem „Kuznicy”, rozwojowi tej przyjaźni szkodzi. Gdy w ostatnich słowach swej recenzji p. Rafałowska stwierdza, iż twórczość Dobraczyńskiego jest „maskowaniem pewnej, niewątpliwiej i wyraźnej treści społeczno-politycznej”, to aż się prosi by w imieniu „Kuznicy” dopowiedzieć te domyslniki. Więc Dobraczyński, zdaniem „Kuznicy” jest po prostu ukrytym reakcjonistą, agentem anglosaskiego imperializmu, wrogiem dobrych stosunków polsko - sowieckich. Nieprawdaż? O to chodziło?

Marginesowo tylko, właśnie na tle zagadnienia propagandy przyjaźni polsko - sowieckiej warto postawiony przez „Kuznicę” zarzut podjąć. Bynajmniej nie z punktu widzenia osobistej postawy Dobraczyńskiego, którego przeszłości politycznej antagoniści widocznie nie znają i nie wiedzą jakie walki staczał on właśnie w czasie wojny we własnym obozie o realizację programu przyjaźni z Rosją. Nie o to chodzi, gdyż Dobraczyński innych świadectw poza swoją twórczością nie potrzebuje. Chodzi o zagadnienie najbardziej zasadnicze. Według zespołu „Kuznicy” zwolennikiem dobrych stosunków polsko - sowieckich może być tylko marksista, może być tylko ten, który zasady rewolucji komunistycznej czynnie wprowadza w życie. To też, idąc konsekwentnie po tej linii — „Kuznica”, jak i wiele innych pism zresztą, prowadzi propagandę wyłącznie na płaszczyźnie marksistowskiej. Ktokolwiek zaś inny wystąpi z tezami sojuszu z ZSRR — tego należy od razu „wykończyć”, zdemaskować jego ukryte a wrogie intencje.

Rozumiemy, że „Kuznica”, sztandarowe pismo marksistowskie — propaguje własną ideologię, doceniający fakt, iż stara się zbliżyć społeczeństwo polskie do osiągnięć ustroju sowieckiego. Jednak, obok tego nie można jednak zapomnieć, że znaczna większość społeczeństwa nie rozumie kategorii marksistowskimi, i że w Polsce nie marksistów, a nawet przede wszystkim przeciwników marksizmu trzeba umieć zdobyć dla idei sojuszu polsko - sowieckiego. Tego zadania „Kuznica” nie tylko nie spełnia, ale swą postawą wybitnie je utrudnia.

Jeśli więc, na przykład, przemawiając przez usta „białego”, który stanął do szeregu w obronie ziemi rosyjskiej, stwierdza, że „to nie marksizm prowadzi Rosję, ale poryw pragnień duszy rosyjskiej rozsada doktrynę” to prawem publicysty spod znaku „Kuznicy” jest temu stwierdzeniu zaprzeczać, z tego bynajmniej jednak nie wynika, by autor tych słów był wrogiem polsko-sowieckich stosunków. Dobrze by było więc, by „Kuznica” zrozumiała nareszcie, że problem sojuszu polsko-sowieckiego jest dziś problemem narodowym. Nie ma tu miejsca na żaden monopol, nawet dla „Kuznicy”.

„SZKOŁA KRYTYKÓW”

Tyle, co do ukrytych intencji wystąpienia „Kuznicy”. Samej recenzji p. Rafałowskiej nie wiele warto miejsca poświęcić. Była płytka, powierzchowna, wykazywała niezbyt wiele z autorstwa omawianej książki po prostu nie przeczytała. Krytyka lite-

racka jest niewątpliwie dziedziną niezwykle ważną, warto jej wiele czasu i miejsca poświęcać. Praca to jednak wyjątkowo niewdzięczna, bo wymagająca przede wszystkim rzetelności. Niezależnie od przyjętych kryteriów, niezależnie od tego jaki system krytyki uznajemy za najważniejszy — krytyka musi być przede wszystkim rzetelna, to znaczy opierać się na znajomości omawianego dzieła i na uczciwości intencji krytyka. Obu tych cech zabrakło p. Rafałowskiej. Jeśli zdanie charakteryzujące Rumunów przypisuje się Rosjanom, jeśli księdza z organizacji „Juventus Christiana” zalicza się do korporacji, jeśli cytuje się, z negatywnym komentarzem takie zdanie: „Przyszłość Rosji nieraz już wykrywana była dłońmi obcych: Holendrów, Anglików, Niemców” — nie podając zdania następnego „Później jednak ta obca fala musiała spłynąć...”

to zdaniem naszym o rzetelności recenzentki nie może być mowy. Z punktu widzenia formalnego należy natomiast zastrzec się w sposób najbardziej kateryczny przeciw dokonanej w tej „recenzji” próbie przerwienia na autora osobiście odpowiedzialności za zdania, wyrażane przez poszczególne postacie tej książki. Jest to chwyt w żadnym wypadku niedopuszczalny. Co by powiedziało „Kuznica”, gdyby np. udawała reakcyjność Ilji Ehrenburga na podstawie cytatów wypowiedzi niektórych postaci z „Upadku Paryża”?

Dobraczyński pokusił się o napisanie powieści obrazującej przeżycia i poglądy Niemców. Żadnego z nich jednak nie wyposażył tego rodzaju cechami, które by pozwoliły go uznać za „porte parole” autora. Jeśli istnienie takiego było konieczne, co nam się wydaje wątpliwe, to szukać by go można było tylko wśród Polaków, przede wszystkim w osobie Oleńki, albo też księdza Tomasza. Nawet i wówczas obowiązywałby daleko idący krytycyzm i ostrożność. O autorze mówi całość dzieła, nie zaś jego urywki.

W tych natomiast dziedzinach, które stanowią zasadniczą treść krytyki — p. Rafałowska głosu zabrać nie potrafiła. Nie zdołała podać oceny krytycznej konstrukcji „Najeźdźców”, nie potrafiła zakwalifikować charakterystyki postaci, wartości typów ludzkich, trafności sformułowań ideowych. A szkoda, bo to dziedzina w której istotnie mogą być różne i ciekawe poglądy.

„MIT DOBRYCH NIEMCÓW”

Jedyny problem warty podjęcia z postawionych przez p. Rafałowską, to owo zagadnienie „dobrych Niemców”, których ponoć z takim zapalem maluje w „Najeźdźcach” Dobraczyński. Cechą istotnie charakterystyczną jest fakt iż w pracy Dobraczyńskiego nie ma zupełnie sztapawatych typów „bydlaków”, „brutali”, „katów” czy „morderców”. Istotnie nie ma tortur i znęcania się, obozy, łapanki, więzienia i Gestapo widziane są z odległości, jakby przez zasłone. Czy jednak brak tych jaskrawości oznacza automatycznie bronienie przez autora koncepcji „dobrych Niemców”? Napewno nie. Zdaniem naszym mit „dobrego Niemca” przyska tym łatwiej im mniej będziemy stosowali jaskrawych kontrastów. Gestapo i kadry obozów koncentracyjnych stanowiły mimo wszystko znikomą część niemieckiego społeczeństwa. Część ta nie spełniała swojej roli, gdyby nie natrafiła w przeciętnym Niemcu na materiał podatny, skory nie tylko do zachwy-

cia się brutalnością, ale gotowy do przyścia z pomocą gwałtom w ramach swych osobistych możliwości. Tych właśnie mięczaków moralnych, ludzi, odwracających wzrok przed oczywistymi zbrodniami, choć biorą w nich udział pośredni maluje Dobraczyński z całym artystem i precyzją. Czyni też niewątpliwie słuszenie, gdyż demaskuje tym typ Niemca najbardziej niebezpieczny, bo zdolny do przeszwarzowania się przez wszelkie sieci denazyfikacyjne pod płaszczykiem swej „kultury” czy „wyszkolenia”. Właśnie charakterystyka typów niemieckich z „Najeźdźców” skłania nas do największej nieufności wobec wszelkich niemieckich „nawróceń” i przemian, bez względu na to, czy odbywają się one pod płaszczykiem kollaboracji z Anglosasami, czy nawróceń w SED (Niemieckiej Partii Jedności). Przemiany prawdziwe nastąpić mogą tylko na płaszczyźnie pokoleń.

Natomiast tezę o „pozytywnym typie Niemca - katolika”, za jakiego uważa p. Rafałowska Herberta Koestringa — uznać możemy tylko za niebywały dziwoląg, tak niebywały jak etyka wyznawana najwidoczniej przez recenzentkę. Według zasad moralności obowiązującej katolika — Herbert jest typem wybitnie ujemnym, niezależnie od tych czy innych sympatycznych rysów jego charakteru czy intelektu. W pełnym tego słowa znaczeniu — mięczak, człowiek bez żadnego kośca moralnego, niezdolny do reagowania na zło, a tym bardziej do walki z nim, choć widzi je wokół siebie.

Na tych rozważaniach warto by właściwie skończyć polemikę z kuznicową recenzją. Uderza nas jednak fakt, że publicyści „Kuznicy”, zapatrzeni w swoje urojone zarzuty — nie potrafili zauważyć istotnego problemu postawionego w „Najeźdźcach”, problemu, który sam w sobie jest odpowiedzią na wszelkie przeciw autorowi ataki. Problem, sam w sobie tak ważki, że wart postawienia go raz jeszcze na światło dzienne. Może go wreszcie ujrzą krytycy marksistowscy.

KOSTRZEWA — CZŁOWIEK I PROBLEM

„Nie trzeba zamykać oczu na fakt, że społeczeństwo pruskie zostało sklezione głównie ze zgermanizowanych szczepów słowiańskich, a jak w Prusach Wschodnich i litewskich. Szerepy te cywilizacyjnie pozostały daleko w tyle poza innymi Słowianami, którzy, jak Czesi i Polacy zorganizowali się w państwa i stworzyli swe narodowe cywilizacje. Tamec, który zafolani ze wszystkich Słowian, otrzymali na ogół dość późno kulturę niemiecką, kulturę obcą, której nie rozumieli; przyjęli jej stronę zewnętrzną, materialną, wdrożono ich w jej dyscyplinę, ale moralnie pozostali surowi. Na pierwotnym gruncie ich dusz, germańska brutalność wyrosła do najwyższej potęgi. Ta ich surowość, połączona z dyscypliną, dała naród feldfelblów. Umiał on zawojować Niemcy, wymusztrować je, zrobić z nich groźną potęgę i umiał je wykoleić, doprowadzić do niebywalej katastrofy” (R. Dmowski „Polityka Polska a odbudowanie Państwa”).

Ta oto teza historyzoficzna stanowi fundament pracy Dobraczyńskiego. Dobraczyński przez cały ciąg powieści analizuje drobniogowo historyczne i psychologiczne źródła konfliktu polsko - niemieckiego. W tym właśnie wiekowym konflikcie doszukuje się on zarówno wytłumaczenia

potęgi, jak i klęsk ponoszonych przez naród niemiecki.

Ujarmienie elementu Słowiańskiego zamieszkującego ongiś terytoria od Łaby na wschód — było źródłem siły niemieckiej. Ten właśnie element, przykuty do państwa niemieckiego, narzuconą mu kulturą i wychowaniem, stanowił trzon sił fizycznych i psychicznych prusactwa. Jednak, choć ujarzmiony, nie przestał zachowywać poczucia swej inności, nawet tam, gdzie tracił poczucie swego prawdziwego pochodzenia. Przemocna chęć zniszczenia Polski — wynikała dla Prus z ciągłej obawy, by w pewnej chwili naród nasz nie odebrał z powrotem tego elementu, słowiańskiego zawsze bliższego nam niż germańskości.

„Zyliśmy długo słowiańszczyzną, wyznaje jeden z Niemców z „Najeźdźców” i na tych odżywkach wzmacnialiśmy nasze mięśnie. Przetrawialiśmy je z pożytkiem dla siebie. W końcu jednak grozi nam sklerozą. Stary bukłak, jak to mówi Biblia, rozlecieć się może od młodego wina. Za późno już na asymilowanie. Trzeba walczyć, zabijać, zadławić grożącą nam młodość”.

Niemcy hitlerowskie, świadome groźby sklerozy atakującej chłonność kultury niemieckiej — żyją w poczuciu, że rzucone przez naród polski w chwili zwycięstwa hasło — „Polacy z całej Rzeczy — łączcie się” może się stać początkiem końca niemieckiej potęgi. Oto wizja, którą stawia Dobraczyński przed oczyma czytelnika, oto treść zasadnicza całej jego pracy.

Na tym tle jasno wyrasta postać Hugona Kostrzewy, która tak gorzko p. Rafałowska, że nie wahała się nazwać go „zdrajcą narodowym”. Kostrzewa jest dla Dobraczyńskiego uosobieniem elementu słowiańskiego, przykutego do germańskiego rydwanu. Jest właśnie tą pożywką, którą Prusy przez wieki karmiły swój organizm. Jest jednak jednocześnie ciągłym potencjalnym niebezpieczeństwem, przez sam fakt, iż świadomy jest swej „inności”, i pragnie w niej mimo wszystko trwać. Konflikt: Kostrzewa, baron von Grote — oto kwintesencja tezy historyzoficznej Dobraczyńskiego.

Wyposaża autor Kostrzewę we wszystkie cechy, na których budowała się wielkość Niemiec. Karność, odwaga, bezgraniczne oddanie sprawie, ideowość, fanatyzm nawet. Jednocześnie jednak każe mu Dobraczyński być ślepym na wszystko złe, które się dzieje, gdyż prymitywizm wewnętrzny nie pozwala mu dostrzec niebezpieczeństw, jakie gromadzą się wokół, w istocie mu obecnej i niezrozumiałej idei germańskiej. „Urodzony w niewoli, okuty w powiciu” Kostrzewa nie dostrzega też tego, co widzą prawdziwi przyglądający się mu Niemcy — że choć nieświadomie, nie przestał mieć polskiej duszy.

„Hugo (Kostrzewa) nie przestał być Polakiem i nie mógł przestać być Polakiem, mówi oficer - filozof von Maries, z nich nawet setki lat polskości zmyć nie potrafią”.

Kostrzewa ginie w bombardowanym przez Anglików baraku i nad jego płomienną trumną, wyraża Dobraczyński modlitwę o przebaczenie i nawrócenie dla tych wszystkich „duchów mocnych lecz błędzących, duchów tragicznych, które musiały walczyć przeciwko własnej krwi”. Nie dał autor Kostrzewie dożyć dni klęski niemieckiej, nie uległ pokusie otworzenia mu oczu na zbrodnie germańskie, na swą prawdziwą drogę nie pchnął go do walki, choćby jesz-

cze tragicznej, o wyzwolenie spod jarzma niemieckiego słowiańszczyzny zachodniej. Czy uznał to rozwiązanie za zbyt symplicystyczne, czy też — za przedwczesne, trudno dociekać.

Dobraczyński przerzuca problem — na postać matki i młodszego brata Kostrzewy. W zapadłej wsi mazurskiej, w Prusach żyje bowiem matka i brat, których germańskość nie zdołała chwycić w swe zaborcze szpony. Tego najmłodszego już Niemiec nie ukradnie, nad tym już nie będzie się unosiła zmora „Janczarskiego wojska”, może to ten mały Kostrzewa będzie — Oswobodzicielem?

Oto kwintesencja ideowej i narodowej treści „Najeźdźców”. Jeśli się kto pragnie w tym doszukiwać „orientacji proniemieckiej per fas et nefas”, idei wybaczenia i apologii germańskości — to wydaje sobie tylko najsmutniejsze świadectwo — nie tylko czytać nie umie, lecz nie rozumie problemu, problem go najwidoczniej z wysoka przerasta.

Teza Dobraczyńskiego, jak każda teza historyzoficzna — jest właściwie tylko hipotezą. Jest pytaniem postawionym i historykowi i politykowi. Nad pytaniem tym warto się jednak głęboko zastanowić, gdyż w jego odpowiedzi mieści się problem jak zlikwidować grożące światu ciągle niebezpieczeństwo niemieckie.

ROSJA: EUROPA CZY AZJA?

Czy teza postawiona przez Dobraczyńskiego może mieć charakter antyrosyjski? Panowie z „Kuznicy” niewąznicznie wskazują na niego, jako na wroga.

Źródło nieporozumienia kryje się najprawdopodobniej w fakcie, iż Dobraczyński tylko Polsce przypisuje zdolności obudzenia świadomości Słowiańszczyzny zachodniej, i w niej upatruje przyszłego wyzwoliciela. Nie wydaje się nam właściwe, by na tle koncepcji historyzoficznej wprowadzać od razu w szranki narodowe ambicje i rywalizacje. Odrzucając na bok te względy można stwierdzić iż narody słowiańskie najbliższej położone Niemiec, posiadające wspólne podłoże kultury łacińskiej, miałyby niewątpliwie największe szanse podjęcia się akcji rewindykacyjnej w stosunku do elementu słowiańskiego w Niemczech. Praktycznie można jednak dziś stwierdzić, że do takiej ekspansji nie są jeszcze gotowe. Potrzebny byłby do tego dłuższy okres pokoju światowego, potrzebne by było właśnie utrwalenie wzajemnych dobrych stosunków w świecie słowiańskim. *Conditio sine qua non* takiej ofensywy kulturalnej — to właśnie przyjazne stosunki z Rosją Sowiecką, współpraca na odcinku niemieckim.

Nie ma więc w koncepcji Dobraczyńskiego miejsca ani na podnoszenie tradycyjnych sporów, ani na sianie atmosfery nieufności. Byłoby to najzupełniej sprzeczne z jego założeniami. Jest on jednak realistą, przedstawia fakty tak jak je widzi. Przedstawia więc otwarcie wszelkie opory, na jakie napotykała się i napotyka się w dalszym ciągu współpraca dwóch narodów przedzielonych tyloma wiekami konfliktów.

„Ja wiem, mówi Rosjanin, że krzywd i zdrad było między nami wiele. Jak dwa narody obok siebie mieszkają, zawsze sobie lubią przygryźć. Ale czy nie myślicie, że czas by już o tych zdradach i krzywdach zapomnieć. Może ta wspólna krew, jakoś tam-

te zdrady i krzywdy przemaze... A przecież jeśli wy o Odrze i o szerokim morzu polskim myśleli, to wy wiecie, że tylko razem tam zajdziemy...”

Mieczysław Kurzyňa

W trosce o młodych humanistów

ZACZNIJMY OD FAKTÓW

W dniach 31 października — 3 listopada odbył się w Krakowie drugi po wojnie zjazd Związku Kół Polonistycznych w Polsce. Było to zarazem zakończenie pierwszego okresu pracy tej instytucji. Powstała ona rok temu i pomyślana była jako centralna organizacja naukowa przyszłych krytyków i historyków literatury. Jednocześnie stanowiła jedną z pierwszych organizacji międzyuczelnianych, była wyrazem tej coraz żywszej tendencji do kontaktów na zasadzie zainteresowań zawodowych, które tak są dla przyszłych pracowników nauki cenne.

Sala Kola Polonistów i Sławistów U. J. dość szczerze wypełniła się delegatami. Przeciwnie z każdego ośrodka akademickiego przybyło około 10 osób, których zadaniem było podzielić się wynikami rocznej pracy każdego ośrodka z kolegami z innych uczelni.

I tutaj od razu zauważyć można było jak duży wpływ na kierunek prac samodzielnych studentów ma żywotność uniwersytetu. Ośrodki akademickie, pracujące pod kierunkiem nie tylko wybitnych naukowców, lecz także pedagogów i dydaktyków reprezentowały metodę pracy zbliżoną do kierunku swoich profesorów. Szczególnie rzuciło się w oczy w delegacji warszawskiej i poznańskiej. Tam zaś, gdzie uniwersytet stanowił mniej atrakcyjną, młodzież ciążyła raczej ku ośrodkom pozauczelnianym, grupując się wokół pism lub instytucji. Tu wymienić należy przede wszystkim Łódź, dla której niewątpliwie bardziej interesujące są kontakty z „Kuznicą”, niż z seminarium uniwersyteckim. To wywiera wpływ zasadniczy na pracę tamtejszych polonistów, którzy żywiej poszukują nowych metod, głębiej sięgają w problematykę kultury, mniej jednak mają tej szkolnej, suchej podbudowy, która mimo wszystko decyduje o zaufaniu do pracy naukowej. Ujmując tę rzecz lapidarnie polonistów Łódzcy to materiał raczej na publicystów i działaczy, niż na naukowców.

Obrazy krakowskie poświęcone były twórczości Prusa. Odbywały się przez trzy dni rano i przed południem i trzeba powiedzieć, że nie były bezowocne. Nie posunęły wprawdzie wiedzy o wielkim pozytywistycznym przedzie poza prace Szwejkowskiego czy Zawodzińskiego, błąkały się często po manowcach (determinowanie Prusa jako endecka), ale stanowiły ciekawy obraz poszukiwań nowych metod w badaniach historyczno-literackich. Przebieg dyskusji nacechowany był na ogół rzetelną troską o odkrycie prawdy i mimo ostrej różnicy zdań utrzymany został w granicach problematyki naukowej.

Oceniając ogólnie, Zjazd spełnił swoje zadanie, pozwolił skonfrontować sposób myślenia młodzieży w poszczególnych miastach uniwersyteckich w Polsce i nasunął cały szereg refleksji, nad którymi trudno przejść do porządku.

O METODYCE PRACY NAUKOWEJ

Jeśli ogół zjawisk kulturalnych przechodzi na przestrzeni mijających lat fluktuacje, pozwalając podzielić historię kultury na okresy, to sam sposób badania zjawisk kulturalnych nie jest czymś niezmiennym, ale ulega wielu zasadniczym wahaniom. Kierunki prac naukowych, mimo całego odosobnienia laboratoriów i pracowni naukowych wyznaczone są jednak przez dominujące w danej epoce założenia onto-

logiczne, teoriopoznawcze, metodyczne i w okresie szybkich przemian tych właśnie założeń podstawowych ulegają także ewolucji.

W badaniach historyczno-literackich na przestrzeni ostatniego pięćdziesięciolecia byliśmy świadkami przejścia od genetyczno-społecznej metodyki Hipolita Taine'a, do metody estetycznej Croce'go, formalnej szkoły rosyjskiej, a dziś marksiści próbują nadać nowy kierunek pracy naukowej. Patrząc z bliska jest to ta sama „tańcowska” metoda genetyczna, determinująca autora i jego dzieło w społeczeństwie i momencie historycznym z tym jednak, że rzeczywistość, stanowiąca normę, ujmują marksiści nie na sposób pozytywistyczny, ale zgodnie z materializmem dialektycznym. Jest to niewątpliwie ironia, że ludzie, którzy walczyli w Polsce o supremację formalizmu, jak Żółtkowski i Kott, dzisiaj odwracają się od niego całkowicie i stają się prekursorami tzw. „szkoły socjologicznej”.

Tę właśnie metodę socjologiczną starali się na Zjeździe Krakowskim zademonstrować polonisci Łódzcy. Uzhrojeni w pancerz marksizmu, wyposażeni w autorytety swoich starszych kolegów z „Kuznicy”, w szereg gruntownie zreszta i rzeczowo opracowanych referatów pokazali, jak w nowym ujęciu wyglądają stare tarminy poetyki — realizm, fikcja literacka, tendencja itp.

Jako materiał do badań Łódzkie Kóło Polonistów wybrało powieści Prusa, a właściwie jedną z nich, to jest „Dzieci”. Wybór ten niewątpliwie ułatwił zademonstrowanie systemu pracy „socjologów”, z drugiej jednak strony wykazał jednostronność wyników tego kierunku. W jego ujęciu „Dzieci” znikły niemal zupełnie jako dzieło literackie. Został z nich jedynie traktat polityczny, czy może raczej broszura propagandowa, napisana przez starzejącego się endecka.

Grupa Łódzka przybyła na zjazd razem z redaktorem Żółtkiewskim i dr. Kottem, którzy przez cały niemal czas obrad obecni byli na sali. Pozwalało to uczestnikom dyskusji interpelować nie tylko młodych prelegentów, ale i ważkich liderów nowego kierunku. I choć żałować należy, że „czystość” studenckiej obsady Zjazdu została w ten sposób nieco zamącona, to przecież z ust obu redaktorów „Kuznicy” padły najbardziej wyjaśniające istotę nowego kierunku stwierdzenia.

I tak dr. Kott, w dyskusji z prof. Ingardenem, po pierwszym referacie, zdefiniował fikcję literacką jako „konstrukcję artystyczną doświadczenia społecznego”. Dalej stwierdził, że „sztuka jest ideologią, czyli sposobem przekazywania doświadczenia społecznego”. Wreszcie postawił historykowi i badaczowi literatury nowe zadanie, twierdząc, że interesować go powinno nie pytanie, dlaczego literatura jest dziełem sztuki, lecz zagadnienie, dlaczego literatura się zmienia”. Z ust tego, niewątpliwie błyskotliwego, mówcy padło także zapewnienie, które wymykało się uwadze podczas referatu młodych polonistów Łódzkich, że praca socjologiczna nad zjawiskiem literackim poprzedzona być musi gruntowną analizą formalną. Wraz z zapewnieniem red. Żółtkiewskiego, że „istotności postawy socjologicznej dowiedzieć można tylko po przyjęciu określonych założeń ontologicznych” stanowili stwierdzenia dra Kotta klucz do zrozumienia nowej szkoły.

Przedstawiony obraz wystąpienia „socjologów” nie byłoby pełny, gdyby nie dodać, że ze stanowiskiem ich polemizował ostro prof. Ingarden,

który jak się zdaje obronił tak istotną dla metodyki poznawania dzieła literackiego teorię „quasi-sądów”.

TROSKA PEDAGOGIKI

Metoda socjologiczna nie znalazła na ogół pełnego uznania wśród zgromadzonych na sali. Studenci przyzwyczajeni do pracy seminaryjnej niechętnie przyjmowali teorię tak bardzo odbiegającą od kierunku prac ich profesorów i dobrze się stało, że zwolennicy różnych metod mogli zapoznać się z nimi w drodze bezpośredniej wymiany myśli. Zjazdy międzyuczelniane ten właśnie powinny mieć cel i w wypadku krakowskim został on osiągnięty. Konfrontacja śledzących prac ośrodków krakowskiego i poznańskiego, prowadzonych (szczególniej referat Poznania) metodą nieco może szkolną, ale niewątpliwie ułatwiająca gruntowne zbadanie zjawiska literackiego, z nowymi poglądami ośrodka Łódzkiego, pozwoliła zebranych studentom ocenić oba kierunki. O tyle więc zjazd swoją rolę wychowawczą spełnił.

Gerzej natomiast wpływał na zebranych bezpośredni udział w dyskusji zaproszonych gości, którzy niekiedy zapomnieli o swojej dość określonej roli na zjeździe.

Najwięcej jednak zastrzeżeń pedagoga i dydaktyka mogła obudzić sprawa delegacji Łódzkiej. Składała się ona w dużej swojej części ze studentów młodych, słuchaczy pierwszego i drugiego roku, którzy dopiero wchodzi w problematykę badań literackich. I podziwiać należy wielkość pracy, jaką wykonali ci młodzi chłopcy i dziewczęta, przeprowadzając analizę socjologiczną „Dzieci”, czy brońąc też Szkoły Socjologicznej na gruncie rozważań o fikcji literackiej. Z drugiej jednak strony nie może być przemilczany fakt, że włożenie nieprzygotowanego naukowo umysłu w ramy jednego tylko systemu metodycznego może wpłynąć niekorzystnie na przyszłe prace adeptów historii i krytyki literatury.

Niebezpieczeństwo to jest tym większe, że metoda socjologiczna dotyczy peryferii właściwych badań literackich, że stale wykracza poza zjawisko literackie.

Rzecz jest tym poważniejsza, że pojmowanie dzieła literackiego jako wyrazu ideologii autora, nawet w najszerszym jej rozumieniu, determinuje jednocześnie jego ocenę, z punktu widzenia czynników pozaliterackich. Prowadzi to do dyskwalifikacji „a priori” pewnych utworów na zasadzie znajomości jedynie ich twórców, co jest niewątpliwie strywalizowaniem problematyki naukowej i przerwaniem pomostu między pracą badawczą a ocenami politycznymi. W toku zjazdu mimowoli nasuwała się myśl, że Prus miał dużą szczęścia, pisząc „Dzieci” po „Lalce”, w przeciwnym bowiem razie, gdyby stosował metodę socjologiczną, nie znalibyśmy prawdopodobnie większości dzieł starego pozytywisty, a może jego nazwisko znikłoby w ogóle z historii literatury.

W tym wszystkim nie ma powodu, by odrzucać z góry wszystkie próby rewizjonizmu w stosunku do metod pracy naszych katedr literackich. Z tym jednak może to być robione zastrzeżeniem, iż krytyka metody pracy naukowców polskich wyiść musi z równego przynajmniej opamiętania badanego materiału. Na razie trudno o tym mówić, a zdania studentów pierwszego roku, nonszalanc-

ko traktujących jedną z wydanych ostatnio książek, należących niewątpliwie do najsubtelniejszych analiz literackich, jako „bełkot”, jest na-

prawdę przede wszystkim niepokojąca

METODYKA I DOKTRYNA

Wystąpienie delegacji Łódzkiej, jak również doskonały referat red. Żółtkiewskiego, wygłoszony w drugim dniu Zjazdu, stanowiły niewątpliwie najbardziej ważne punkty obrad. Jeśli jednak przypatrzeć się przebiegowi imprezy krakowskiej z nieco innego punktu widzenia, to trzeba powiedzieć, że mieliśmy do czynienia nie tyle z dwiema grupami naukowców, którzy walczą o prawdę własnego sposobu myślenia, ile raczej z rozprawą nową, szturmującą doktrynę z pozostałościami tradycji. I trudno się oprzeć wyrażeniu raz jeszcze uznania zarówno polonistom Łódzkim, jak i ich antagonistom z innych ośrodków, że mimo wszystko nader rzadko wkraczali w ramy atmosfery sporu pozanaukowego.

Ta atmosfera jednak istniała i rzecz prosta trudno traktować ją jako zło samo w sobie. Ostatecznie jesteśmy stale świadkami konfliktu dwóch systemów, z których jeden jest mierzalnym filozoficznym, a drugi, wprawdzie nie zamkniętym, ale za to twarde zarysowanym systemem aksjomatów. Obie postawy dążyć będą i praktycznie rzecz biorąc dają, do rozwiązania całości problematyki zjawisk ludzkich, a zjawisk kulturalnych w szczególności.

Wydaje się przecież, że istnieje coś, co wiek XIX-ty nazywał obiektywizmem naukowym i że w pewnych sytuacjach o tym obiektywizmie zapominać nie wolno.

Coraz gwałtowniejsza ofensywa doktryny na grunt ekskluzywnych dotychczas pracowni i laboratoriów jest jednym z zasadniczych symptomów powojennej epoki i rzecz prosta można stwierdzić, że tak było zawsze. Ze w gruncie rzeczy pełny obiektywizm jest fikcją. Ostatecznie każdy system, każda metoda wymaga przyjęcia jakichś pewników, determinujących późniejszą pracę badacza. Naukowiec nie może osiągnąć wyniku, jeśli nie ma zaproszonej jasno postawy epistemologicznej, to zaś z kolei mimo woli prowadzi go na grunt ontologii. Prof. Schaff wymaga nawet od marksistów, którzy tak chętnie chcą przyznać monopol naukowy swojej metodzie, przyjęcia istnienia niestworzonej i niestwarzalnej materii oraz wiecznego niestwarzalnego ruchu.*)

Z drugiej jednak strony rozwój teorii nauk doprowadził do dużej autonomii poszczególnych dyscyplin i odejście od tej zasady jest bodaj że cofnięciem się. I dlatego nie wolno tej problematyki trywalizować, nie wolno wprowadzać bezpośrednio do każdej czynności, każdej oceny tych prawd i założeń, które powinny zamknąć system gdzieś u samych szczytów.

Nawoływanie do zachowania status quo jest zawsze mało atrakcyjne. Tym więcej, jeśli gruntem stawiana podobnej tezy staje się Zjazd młodych, którzy chcą i muszą dążyć naprzód. Dlatego raz jeszcze zastrzec trzeba przed jakąś z góry uplanowaną niechęcią do rewizjonizmu. Pomijając ciasność tego rodzaju postawy będzie ona zawsze „niepropagandowa” i nieprzekonywująca. Apel jednak, który tkwi w tych rozważaniach, zwrotkowy jest nie tyle może do uczestników obrad krakowskich, ile przede wszystkim do tych, na których spoczywa troska o nauki humanistyczne w Polsce i pracę jej młodszych adeptów za lat kil-

* Adam Schaff: „Wstęp do teorii marksizmu”, strona 43-c-a, wyd. „Książka”.

ka. Dla nich zaś wyżej wymienione względy praktyczne powinny i muszą mieć znaczenie drugorzędne.

W OCZACH KATOLIKA

Jeśli w dotychczasowej części swego sprawozdania przeprowadziłem krytykę sposobu wystąpienia łódzkiej delegacji na krakowskim Zjeździe Kół Polonistycznych, jeśli broniłem przed chwilą autonomii nauki, to me dlatego, by w konkluzjach zastąpić marksistów i sięgnąć z odmiennego punktu widzenia „po rząd tych samych dusz”. Wydaje mi się, że gdyby na miejscu red. Żółkiewskiego wystąpił w sposób identyczny red. Gołubow, a zamiast dra Kotta — dr. Władysław Grabski, krytyka musiałaby być podobna. Ale właśnie dlatego trzeba na końcu zaznaczyć katolicki punkt widzenia na powyższe sprawy. Od dłuższego już czasu jesteśmy

świadkami cofania się katolików „na z góry upatrzone pozycje”, wyznaczone jednak nie przez nich samych, a przez ich przeciwników. Jeśli na Zjeździe Krakowskim jedna ze studentek łódzkich opracowała referat o „realizmie powieści katolickiej” było to niewątpliwie ogniwem tego samego procesu. Tu bodajże tkwi to, co określić można mianem katolickiego minimalizmu. Bo w gruncie rzeczy nie istnieje przecież jakaś specjalna katolicka nauka (rzecz prosta nie myślę tu o dyscyplinach religijnych — teologii czy dogmatyce). Określić raczej można, co nie jest nauką i literaturą katolicką, ale zakres tego nowego pojęcia będzie naprawdę bardzo wąski. Szczegółowe rozważania na ten temat przeprowadził w dość ciekawym studium Jan Dobraczyński („Dziś i Jutro”, Nr. 42 (99)).

W tym miejscu odciąć się należy jak najbardziej energicznie od wypychania twórczości kulturowej w ramy zbyt wąskie i gwałtownego zapędzenia katolików do zakrystii. Stwierdzić trzeba mocno — każde dążenie do prawdy, dobra, piękna i miłości jest dążeniem katolickim i w imię odwiecznego uniwersalizmu Kościoła nie wolno nam z jakichkolwiek pozycji tutaj rezygnować. Rodzący się z lęku, z mała duszności, z płytkiego świętoszkostwa minimalizm, monopolizowanie w jakichś śmiesznych kapliczkach przeświadczeń, co jest, a co nie jest katolickie, staje się w dzisiejszych czasach niemal występkiem. I dlatego z naszego punktu widzenia wolno nam walczyć o autonomię nauki, rzecz prosta nauki prawdziwej, dążącej do prawdy i tylko do prawdy.

Postawienie problemu tak szeroko-

kiego pojmowania kultury katolickiej nie zwalnia jednak tych, którzy uważają się za integralnie związanych z religią i Kościołem od zasadniczej troski o wygląd tej kultury „Świątek nie może się sam toczyć”. I odpowiedzialność za to, co w dziedzinie tak właśnie szeroko pojętej myśli katolickiej dzieć się będzie w Polsce spada na tych wszystkich, którzy już dziś działają i jutro działać będą. Dlatego na każdego publicystę i każdego naukowca katolickiego, na każdego polityka i każdego wychowawcę spada zasadnicza troska o los kierunek pracy tych wszystkich, którzy zapewniają wydziały humanistyczne, przyrodnicze, matematyczne handlowe czy specjalne naszych wyższych uczelni.

Redaktor Żółkiewski w jednej ze swoich prelekcji w Warszawie,

powiedział niedwuznacznie, że za lat kilka w życiu kulturalnym Polski brąc będą udział ci tylko, którzy znajdą się w ramach jego oficjalnej organizacji. Nie boimy się tego stwierdzenia. Mamy mocne poczucie, że bez względu na to, jakie będą te ramy, życie kulturalne Polski może być katolickie. Ale żeby tak było, trzeba już dziś w każdym ośrodku akademickim i wokół każdej szkoły wszcząć akcję pomocy dla tych, którzy kiedyś ów projektowany system wypełnią. Nie wolno ani chwili z rozpoczęciem tej akcji zwlekać, nie wolno tłumaczyć się dosłownie żadnymi względami, w przeciwnym bowiem razie musimy istotnie wrócić do jakiegoś casusowego pojęcia katolicyzmu i na wiele lat zamknąć się w tak gorliwie proponowanych nam kapliczkach.

Mieczysław Kurzyński

Janowi Kottowi — ceniąc prawdziwie jego niezależną błyskotliwość — słów tych parę przypisuję.

Kazimierz Koźniewski

O inteligentnym reakcjonistach (żart jubileuszowy)

Okazja jubileuszu wymaga, artykułu mającego jakiś formalny związek z „Dziś i Jutro”. Długo myślałem — na koniec znalazłem temat gładki.

Przed paru miesiącami jeden mąż — mąż zaufania czynników tak zwanych miarodajnych, — a równocześnie pilny czytelnik tego pisma i moich w nim elaboratów, wyraził się, że artykuły niżej podpisanego skierowane są specjalnie pod adresem „inteligentnych reakcjonistów”. Gdy mi to powtórzono — w pierwszej chwili — zapłonęłam ogniem największego oburzenia, czułam się wręcz obrażony! Tak przecież powinno działać owe straszne słówko „reakcjonista”! Ponieważ mam jednak tak niewygodne usposobienie, że jeśli pięć (z sześciu) osób obecnych w pokoju mówi na coś „czerwone”, to sam fakt tej jednogłośnie zacytowanej budzi moje podejrzenie, czy aby napewno to coś jest „czerwone”, a nie naprz „czerwono-niebieskie”.

Tak i z pospolitą pejoratywnością określenia „reakcja”. Każdy — i zawsze, nie tylko teraz — odzignął się od „reakcji”, jak diabeł od święconej wody. Ale wróćmy do „inteligentnych reakcjonistów”!

Zawsze należy zaczynać od końca. W danym wypadku od owego strasznego słowa „reakcjonista”.

Otóż wydaje mi się — jestem nawet tego zupełnie pewien, — że określenie to najzupełniej niesłusznie ma pejoratywny wydźwięk. W istocie bowiem nie znaczy ono nic innego, jak jedno z dwóch skrzydeł społecznego postępowania. Jedno jest postępowaniem, drugie reakcją. Życie społeczne toczy się między tymi dwoma biegunami i jest ich wzajemną wypadkową. Reakcja — jest to po prostu opozycja w stosunku do zbyt gwałtownego radykalizmu, a postępowanie z kolei jest reakcją w stosunku do zbyt upartego konserwatyzmu. Określenia „zaczofany”, czy „konserwatysta” mogą być w pewnych okresach pejoratywne, o tyle „reakcja” jest zawsze określeniem korzystnym, gdyż bez społecznej reakcji, jak i bez — zupełnie równoległe — społecznego postępu nie mogłyby się rozwijać społeczeństwa. Powietrze jest równie potrzebne do życia, jak jedzenie. Natura wymaga zawsze równowagi. Reakcja i postępowanie gwarantują taką równowagę. Są relatywne. Zmieniają swą treść w każdej sytuacji historycznej. Są swoim najzupełniej naturalnym dopełnieniem. Reakcja jest potrzebą społeczną. Jednostki, które w okresach nadmiernego radykalizmu biorą na siebie rolę hamulca, są tak samo potrzebne, jak ci, którzy w czasach nadmiernego konserwatyzmu społecznego chcą spełnić rolę bicza.

Już Bertrand Russell zauważył w jednym ze swych dzieł, że to co po-

zornie wydaje się być różnicą przekonań politycznych, jest w istocie różnicą temperamentów. Ta symplifikacja zawiera jednak wiele prawdy. Jest znaczny procent ludzi, którzy gwoili swemu temperamentowi będą reakcją w każdym ustroju. W czasach zbyt stabilizacyjnych będą działać postępowo, a w okresach radykalnej galopady będą rozmyślnie zwalniać kroku. Rola to nie jest prosta ani łatwa, wymaga często odwagi cywilnej. Ludzi, z temperamentem i z zrozumieniem waloru społecznego postawy reakcyjnej, a nie upartych konserwatywnych czy radykalnych przekonań — nie jest nię zbyt wielu. Dlatego należy się im szacunek i pełne uznanie ich społecznej wartości. Wartości równoważników.

A teraz słowo „inteligentny”.

Inteligentny — to właśnie, jak to się okazało nieco wyżej, reakcjonista ze społecznego rozsądku, a nie z upartych przekonań, nie ze stałości niedorzecznych namiętności.

Inteligentny reakcjonista, ma pełną świadomość historyczności czasów przeżywanego, których nie wolno, pod żadnym pozorem, mierzyć pragnieniami własnej wygody czy wygody osób z nami tak czy inaczej blisko związanych (marksista by rzekł tutaj: klasy). Historia ma swoje prawa i sposoby rozwoju i tak zwane rewolucje ma w dobrym zwyczaju aplikować. Nie wiem zupełnie dlaczego część ludzi w naszym ubogim kraju jest święcie przekonana, iż właśnie nam ma być taka rewolucja oszczędzona? Dlaczego? Przeżyły ją Anglia, Francja, Rosja, przeżywały kraje pomniejsze, dlaczego Polska ma być wyjątkiem? A że akurat trafiło to na nasze poko-

lenie? Na jakiegoś przecież musiało trafić. Pech, albo szczęście, jak kto woli. Ale rozpacz, ale się nierozumnie ludzi, że można cofnąć koło historii.. Absurd! Można najwyżej rozsądkiem starać się hamować nieco rozbrykanego rumaka.

Inteligentny człowiek, a więc i inteligentny reakcjonista przygląda się temu widowisku historycznemu — jak i innym w innych czasach — bez żadnego zdenerwowania i bez specjalnej złości.

Tym spokojniej obserwuje inteligentny reakcjonista to wszystko, że zdając sobie sprawę z tego, co dzieje się wokół Polski, na świecie. Wie, iż kraj nasz nie jest odosobniony, iż świat cały przechodzi teraz przez gwałtowną ewolucję społeczną i techniczną, na końcu której stoi zupełnie nowa forma ustroju światowego — jeden świat. Zupełna nowość tej zbliżającej się formy sprawia, że nikt w tej chwili nie jest w stanie przewidzieć jakimi regułami będą się rządziły społeczeństwa, gdy „jeden świat” stanie się faktem. Nie są tego w stanie przewidzieć ani aktualni konserwatyści, „biali”, lub dzisiejsi „radykalni”, „czerwoni”, ani „czarni”. Nie warto się martwić za śmierci, jak powiedział mi kiedyś w więzieniu pewien życiowy krytyk.

Oczytany w historii — wie inteligentny reakcjonista tą zabawną prawdę (— doświadczył jej zresztą po części na własnej skórze —), że niestanna ewolucja polityczna, społeczna, ustrojowa i gospodarcza płata ludziom kawały. Po jakimś okresie czasu okazuje się na przykład, że dzisiejsi radykaliści stają się jutro

zachowawcami, że rewolucjoniści zostają z biegiem lat konserwatystami. I na odwrót. Ze reakcja staje się postępowem, a postępowanie reakcją, i tak nieustannie. Dzięki temu w tym bałaganiarskim, choć podobno najlepszym ze światów, panuje jeszcze jakaś harmonia.

Zywiąc tego rodzaju przeświadczenie nie inteligentny reakcjonista kieruje się w swoim obecnym postępowaniu na ogół trzema zasadami.

Po pierwsze jest spokojny w ocenie bieżących wydarzeń. Współczuje tym wszystkim, którzy spokoju tego są pozbawieni i reagują w sposób niepoczynny, gwałtowny, narażający ich na niepotrzebne straty. Straty własne i straty narodu. Współ czuje ich głupocie i ich gorączce.

Jest najgłębiej przekonany, iż szanse narodu, którego przez kaprys natury jest członkiem, zależą przede wszystkim od jak najprędzszego wyrównania zacofania cywilizacyjnego i odbudowania zniszczeń wojennych na jakie cierpi nasz kraj. Jest to nieodzowny warunek pełnego partycypanowania w dobrych i złych partiach, rozwoju światowego. Dlatego też pierwszy wysiłek winien być zwrócony, nie na wysiłki utrzymania za każdą cenę modelu zastalego, czy realizację też za każdą cenę modelu zbyt nowego — ale na odbudowę gospodarczą, ekonomiczną, intelektualną i moralną naszych zdewastowanych fabryk, sklepów, mieszkań i ludzi.

Wreszcie zdołał on zauważyć, że konspiracja jest najgorszą szkołą działalności politycznej i państwowej. Dlatego też inteligentny reakcjonista zna wartość pokoju i legalizmu. Wie, iż bez ich odzrawiającej mocy szarpalibyśmy się bez końca

wśród strasznej nędzy, zbyt wielkich gruzów i zbyt namiętnych, a nierozważnych, administratorów.

Jak z tego widać inteligentny reakcjonista jest elementem w narodzie naszym twórczym. Albowiem jest hamulcem naturalnym. No i wespół z podobnymi sobie tworzy bodaj jedyną — pomiędzy tak zwanym obozem rewolucji a obozem wstecznicstwa — grupę, która na wzburzonych falach spraw dzisiejszej Polski i dzisiejszego świata — jest arką rozsądku i spokoju.

A to już bardzo wiele. Dlatego piszę przeważnie pod ich adresem.

Kazimierz Koźniewski

PS. To wszystko, co powyżej napisałem można uważać za zabawę jubileuszową, pod dobrą wódkę. Ja też tak potrosze uważam. Dlatego też na codzień lubię mieć koło siebie i wyraźny sztandar i szeroką tarczę. Z tym tylko, że na tarczy wolę siedzieć, lub leżeć, aniżeli ją trzymać. A sztandar winien być możliwie lekki. Słabe mam dłonie. Najlepiej jak jest to kolorowa chusteczka do nosa. Łatwo można ją zwinąć i schować do kieszeni.

K. K.

Dnia 23 b. m. o godzinie 10-ej odbędzie się w Kaplicy Wilcza 7

MSZA ŚWIĘTA

za pomyślność pracy tygodnika i zespołu „DZIŚ I JUTRO” z racji dwulecia działalności, na którą zapraszamy sympatyków i prenumeratorów pisma

Komitet Redakcyjny i Administracja

Hanna Malewska.

STANICA

zł. 300.—

Nakładem Mieczysława Fuksiewicza i S-ki

Warszawa, Nowogrodzka Nr 37

Już wyszedł z druku KALENDARZ ZIEM ODZYSKANYCH

Nakładem Niższego Seminarium Duchownego w Gorzowie Wlkp.

Kalendarz jest zbiorem wiadomości historycznych i aktualnych o naszych ziemiach zachodnich. Gromi piarzysty i publicystów katolickich omówiło w nim historię naszych średniowiecznych biskupów na tych terenach, najnowsze osiągnięcia Kościoła w pracy ściśle duszpasterskiej, narodowej i społecznej itp. W kalendarzu tym czytelnik znajdzie krótkie szkice biograficzne k. dra B. Domańskiego. Harcerzy zaciekali barwnie ujęty problem „Ideaty eżyczne w harcerstwie polskim”. Ilustracje najważniejszych kościołów i zabytków polskich Ziemi Zachodnich dopełniają całości obrazu naszego regionu, coraz bardziej zrastałego się z resztą kraju. Wypowiedzi Papieża i Prymasa Polski na tematy religijno-narodowe w naszej Ojczyźnie wykreślają nam jasno drogi na przyszłość. Kalendarz ten powinien się znaleźć w każdej polskiej rodzinie. Cena wynosi 100 zł. Nabyć można w Księgarni św. Antoniego w Gorzowie, ul. Łokietka 26.

SCENA III-a.

Jakub: Myślałem, że zastanę tu Krzysztofa.

Joanna: Dopiero co odszedł i na pewno zaraz nadejdzie. (po chwili) Pragnę być z tobą razem, Jakubie. Zwłaszcza teraz, gdy jest on, ten właśnie świadek twego ... nieszczęścia.

Jakub: — Krzysztof — to więcej niż świadek, to mój sędzia.

Joanna: — Pragnę ci pomóc, Jakubie. Zawsze byliśmy razem, gdy nam było ciężko. W takich chwilach mówiłeś, że ci jestem potrzebna. Gdy ogarnę pamięcią nasze życie, to te wszystkie złe chwile stają się prawdziwą, najsilniejszą więzią między nami.

Jakub: — Rzeczywiście, Joanno, mieliśmy wiele trudów w życiu. Ale to były ciężary do udźwignięcia, — i przeszkody do pokonania. Pamiętam to. Potrafiłaś mi zawsze pomóc.

Joanna: — Potrafię i teraz, Jakubie.

Jakub: — Nie wiem, czy to możliwe. W tym, co się stało, jestem zupełnie sam. Nikt tego mi odjąć nie może, — nikt nawet nie będzie w stanie zrozumieć.

Joanna: — Ja na pewno, Jakubie. Tylko mi zaufaj. Nie jesteśmy już młodzi i wiemy niejedno o sobie i o życiu. Ja mam wiele win wobec ciebie. Nie umiałabym wyjaśnić dlaczego ze mną tak się stało? To zupełnie, jak choroba. Człowiek poddaje się i już potem siłą bezwładności dzieje się z nim coś, czego wcale nie chciał.

Jakub: — Ale, człowiek, Joanno, panuje nad rzeczami i panuje nad sobą. Wtedy tylko jest się człowiekiem.

Joanna: — Błądzenie i słabość — to także cechy ludzkie. Nie tylko owo „panowanie”. Gdyby tak było...

Jakub: — Naturalnie, nie zasłoby to, co ze mną. Ale to jest wbrew ludzkiemu dążeniu. To jest godne pogardy.

Joanna: — Jakubie!

Jakub: — Mówię prawdę! Tak powie każdy i każdy ma do tego prawo. I ja bym tak mówił, jeszcze wtedy, gdy wszystko wydawało się proste. Czyn jest tylko jeden: dobry, lub zły — Świat ma prawo tak sądzić.

Joanna: Mówi przez ciebie cała gorycz, ale czyż tak naprawdę wygląda życie? Nie jest ono ani tak proste, ani tak surowe. Nawet tam, gdzie byłeś, istniała na pewno jakaś wyrozumiałość.

Jakub: Tam właśnie była sama surowość. Nie mogło być inaczej. To tylko ja jeden, na setki, na tysiące... spadłem tak nisko. Byli tam ludzie prości, od ciężkiej pracy fizycznej, byli ludzie uczeni i mądrzy. Tylko ja jeden.

Joanna: Taki człowiek, jak ty, bohaterski, do szaleństwa odważny...

Jakub: — Nie wiem, jak to się stało. Zdałem się, że zaczęło się od głodu, od pierwszej kromki, którą ukradłem. Potem kradłem częściej bez skrępowań, dopóki był głód. Głód tam jest innym głodem, niż głód, jaki znam. Za głodem szedł strach, poniżenie aż do pochlebstw wobec wrogów. Bałem się bicia i bałem się tortur. Miałem ciągle w oczach męki ludzi niewinnych, zrywałem się w nocy z krzykiem, z przerażeniem i wołałem najczęściej: „To nie ja, to nie ja!”

Joanna: Biedny Jakubie...

Jakub: — Nienawidzili mnie moji współtowarzysze, podejrzywali o najgorsze. Grozili. Widzieli, że w oczach mam lęk, że wszystko mnie przeraża i że strach odbiera mi rozum. Wstrętny, podły strach! Aż raz, Joanno... raz, zdarzyło się to okropne, to ohydne...

Joanna: — Z Krzysztofem?

Jakub: — Tak. Był on tam lekarzem. Mógł wiele zrobić i ratować ludzi przed odeśnięciem do komory gazowej. Ukrył raz w naszej izbie kogoś, komu to groziło i kogo nie mógł wybronić. Był to ktoś, na kim widocznie bardzo mu zależało. Całą noc czuwał przy nim, i on i my wszyscy. Nad ranem ten chory umarł. Cała rzecz wydała się prędko, że to u nas przechowywano. Nastąpiły badania. Ach, Joanno, — nie wiesz, co to jest. Nikt nie wie. Wmawiano mi, że to ja, — a jeśli nie ja — to kto? Kto? Pytali i wtedy stała się ta rzecz. Złamałem solidarność — wydałem Krzysztofa! Wydałem go, Joanno...

Joanna: — (z rozpaczą) Och, Jakubie, Jakubie...

Jakub: — Groziła mu śmierć. Siedział w bunkrze, skąd się nie wychodził. Ale na szczęście wyszedł. Nienawidzili mnie wszyscy i ja nienawidziłem siebie. Chciałem wtedy żyć! Tuż o krok była śmierć, jedynie śmierć, a życie było tu, Ty i Monika. Kochałem cię, Joanno, najgorszą jakąś miłością.

Joanna: — Czy to doprawdy ja? lub Monika? Czy to doprawdy, Jakubie?

Jakub: — Widzisz, że nie możesz uwierzyć.

Jerzy Zawieyski

OCALENIE JAKUBA

(Fragment aktu I sztuki granej obecnie w teatrze im. Wyspiańskiego w Krakowie)

Joanna: — To był tylko lęk. Strach. To nie to co mówisz. Tak ci się wydaje.

Jakub: — Nie wiem. Chciałem żyć, a tam była tylko śmierć.

Joanna: — Tutaj śmierć groziła ci na każdym kroku. Mówiłeś, że jesteś gotowy zginąć. Mówiłeś, że każdy dzień masz darowany. Jakubie...

Jakub: — To zupełnie co innego. Tutaj, a tam! Tam — to nie była śmierć, to były tortury. Na samą myśl o tym jeszcze teraz, w tej chwili ogarnia mnie coś jak obłęd... Joanno, uwierz...

Joanna: — Tyle było, jak mówisz, ludzi zwykłych, a jednak znosili. Wyrwali. Rzadko odpisywałeś na moje listy i zawsze były to wiadomości jednakowe: „Jestem zdrow, myślę o was”, czy mogłam być przypuszczana?

Jakub: — Później chciałem wydobyć się z tej ohydy. Buntowałem się. Chciałem być jak inni. Chciałem już wtedy nawet śmierci! Za późno!

Joanna: — Więc chciałeś, Jakubie, wydobyć się? Więc chciałeś nawet śmierci?

Jakub: — Chciałem, ale byłem tam zupełnie sam. Dookoła mnie było ich milczenie. Nikt nie rozumie, co to jest być tam samemu. Miałem tylko daleko, tutaj, — ciebie Joanno.

Joanna: — To straszne. Tego rzeczywiście, co mówisz, nie mogę zrozumieć. Wydaje mi się, jakbym była współwinna temu wszystkiemu, co tam się z tobą stało. Ach, Jakubie...

Jakub: — Znosiliśmy niejedno w życiu złe i ciężkie. Ale nie wydaje się tak ponad siły, jak to.

Joanna: — To prawda. Chciałabym ci pomóc. Biedny Jakubie. Domyślałam się tego, coś mi powiedział, a mimo to — tak mi trudno wszystko obić. Trudno się zgodzić, że to ty...

Jakub: — Musisz mnie ratować.

Joanna: — Jak? Czy mogę? Czy potrafię? Teraz w tej chwili lęk mnie ogarnia.

Jakub: — Czy może lekasz się mnie? —
Joanna: — I ciebie się także lekam. Bo jeśli to wszystko mogło się stać? Jeśli się mogło stać?

Jakub: — O najgorszym jeszcze nie wiesz.

Joanna: — Jak to?

Jakub: — O Krzysztofie!

Joanna: — Wiem, że go dwukrotnie wydałeś. Jak to być za drugim razem? Krzysztof cudem uniknął śmierci, choć był torturowany. Ach, Jakubie! Poznałam go w szpitalu, gdzie szukałam ciebie. Był cały jeszcze w ranach i tak słaby, że ręki nie mógł podźwignąć. Dlaczego go na to skazał?

Jakub: — Musisz wysłuchać spokojnie. Było tam wielu ponad zwykłą miarę. Ale Krzysztof przewyższał wszystkich. Był prawdziwie, jak święty.

Joanna: — Krzysztofe?

Jakub: — Był cały otwarty dla innych. Nie tylko, jako lekarz. Gdziekolwiek trzeba było pomóc, gdziekolwiek ktoś cierpiał — tam był Krzysztof. Nie czekał na wezwanie, sam wiedział kto go potrzebuje. Trudno to powiedzieć, jaką tam spełniał rolę. Przecież nie mógł głodnych nakarmić, choćby swoje oddawał. Nie mógł pracować za innych. Nie mógł ratować od śmierci, chociaż, gdyby to było możliwe — umarłby chętnie za niejednego z nich.

Joanna: — Krzysztofe? Krzysztofe?

Jakub: — Nie wiem, jaka to była pomoc, ta pomoc nie lekarska, bo sam jej nie mogłem zabrać. Ale widziałem. Wystarczała jego gotowość, jego troska o innych. Było coś w Krzysztofie, coś trudnego do określenia. Tacy są zapewne ci, o których się mówi, że są święci. Czy możesz to zrozumieć? Sama obecność Krzysztofa, jego słowa, jego uśmiech, jego dobroć — umniejszały ludziom cierpienie. Słabym dodawał siłę, jak? nie wiem. Wszyscy patrzyli w niego i dookoła niego się skupiali, gdy przychodziły ciężkie chwile. Otaczała go prawdziwa ludzka miłość.

Joanna: — To Krzysztofe? Ja także to odzyskałam, tam jeszcze w szpitalu. Ale nigdy o sobie nie mówił. Wydawał się twardy. Chociaż... chociaż zawsze był dobry.

Jakub: — On dokonał tego, że tamci mogli przetrwać. Kochałem go, Joanno, — uwierzyć. To był dla mnie prawdziwy święty.

Mógłbym leżeć przed nim i zebrać o jedno dobre jego słowo. Raz zdobyłem się na to — ale Krzysztofe...

Joanna: — Co? Powiedz, Jakubie.

Jakub: — Krzysztofe bez słowa odwrócił się ode mnie. Popatrzył tylko z wielkim smutkiem em i odszedł.

Joanna: — Nie wiem, czy mógł zrobić inaczej? Nie dziw się, Jakubie. Bał się ciebie. Musiałeś wzbudzić lęk.

Jakub: — Odmówił mi tego, czego miał w nadmiarze dla innych. Byłem zupełnie sam. Krzysztofe mógł być mnie wydzwignąć. Tylko on jeden.

Joanna: I wtedy go wydałeś po raz drugi? Dlatego?

Jakub: — Nie. Wtedy, znów podczas podobnego, co przedtem śledztwa, gdy o niego pytali — wszystkiemu zaprzeczałem, oskarżałem siebie. Na darmo. Nie uwierzyli. Właśnie dlatego, że go tak żarliwie broniłem.

Joanna: — Krzysztofe przebył wtedy dwa miesiące w lochu. Dwa miesiące. Gdyby nie ewakuacja, gdyby nie zamęt, z którego skorzystał, by uciec...

Jakub: — Właśnie wtedy dowiedziałem się, że żyje. Nie myślałem, że wrócił tutaj. Szukałem go po obcych krajach.

Joanna: — Szukałeś go? Dlaczego?

Jakub: — Wtedy zaczęła się moja najgorsza męka. Ogarnąłem cały bezmiar mego upadku. Chciałem się wydobyć, Joanno! Chciałem się wydobyć! Czy rozumiesz? Tylko Krzysztofe mógłby mi pomóc. On jest tym, który mógłby to zrobić. Nie mam nic na złagodzenie tego, co się tam stało. Ale może by on, który tyle przeze mnie cierpiał... może by on... mógł mnie wydobyć.

Joanna: — Jakubie. Biedny Jakubie.

Jakub: — Jeszcze wczoraj, jeszcze dziś z rana nie wiedziałem po co tu przyszedłem. Bo nie ty, ani Monika byliście celem mojej wędrówki. Szukałem Krzysztofa. Znalazłem go tutaj przy tobie!

Joanna: — Krzysztofe był dla mnie wielką pomocą. On jest chyba naprawdę taki, jaki mówisz. Teraz dopiero go rozumiem. Nie wiesz, jak trudno wyrzec się takiego człowieka. Tym bardziej trudno, że on się na to nie godzi.

Joanna: — Jakubie. Biedny Jakubie.

Jakub: — Byliśmy zawsze razem, Joanno. Musisz mnie ratować.

Joanna: — Ja także jestem w różnych splątaniach. Jest mi tak samo ciężko.

Jakub: — Pragnę się wydobyć, Joanno. Wszystko zrobić, wszystko znieść, aby się wydobyć. Tylko nie wiem, czy to jeszcze możliwe, abym mógł być, jak każdy człowiek? Jak każdy człowiek?

Joanna: — Zapewne jest to możliwe. Wiem, jak bardzo cierpisz, Jakubie. Chciałabym poradzić, ale nie wiem jak? Krzysztofe może miałby jakąś radę, od niego przecież wszystko zależy. Ale Krzysztofe, Jakubie...

Jakub: — Co? Powiedz, Joanno...

Joanna: — Mówiłeś, że tam był, jak święty. Więc, jeśli tak jest z nim naprawdę, lub jeśli w nim tak było — to tylko on jeden może znaleźć radę. Ale oprócz twego nieszczęścia, twego cierpienia — jestem jeszcze ja. Nie wiem, Jakubie, jak będzie? —

Jakub: — On ma prawo do całego mojego życia. Ale ty, Joanno... Gdyby nie ty, zawisłbym na pierwszej gałęzi. Od niego to zależy, abym na nowo żył. I od ciebie także.

Joanna: — Ode mnie? Ach, Jakubie. Nie wiem, czy są takie ręce, które cię mogą zdźwignąć. Cóż ja? Patrzę oto na ciebie i nic prócz żalu dać ci nie mogę. Mój biedny Jakubie. Taki człowiek, jak ty...

Jakub: — Nie jestem człowiekiem...

Joanna: — Jesteś, Jakubie. Wiem, że jesteś. Tamten jest także człowiekiem, chociaż tam był, jak święty. I to jest najdziwniejsze, że Krzysztofe był taki, tak samo, jak najdziwniejsze jest to wszystko, co stało się z tobą. Mój biedny Jakubie.

(w pewnej chwili po pauzie ukazuje się Krzysztofe).

SCENA IV.

Krzysztofe: — (ogarnął sytuację). Nie wiem, czy powiedziałaś już o wszystkim, Joanno?

Joanna: — Była tu mowa o tobie. Dobrze, że jesteś.

Jakub: — Szukałem cię przez cały rok po różnych krajach. Nie wiedziałem, że aby cię znaleźć powinieneś być przybyć do własnego domu.

Krzysztofe: — Nie rozumiem dlaczego mnie szukałeś? Czy chciałeś przekonać się, że naprawdę żyję.

Jakub: — Dużo jest w twoich słowach ironii. Doprawdy, nie wiem, co jest gorsze dla mnie, czy to, że żyjesz, czy to, że mógłbyś nie żyć. Obaj żyjemy i teraz, Krzysztofie, idźcie mi o ciebie i o moje życie. A także o moją ocalenie.

Krzysztofe: — Domyślałam się, że chcesz wrócić do tamtych spraw. Nic na nie nie poradzę. Zakończyły się one dla mnie ostatecznie.

Jakub: — Ale nie dla mnie. Zrozum, że teraz dopiero to wszystko we mnie żyje.

Krzysztofe: — Nie mogę w nich brać udziału. Mamy tutaj sprawy bliższe. Dla mnie prawdziwie ważne. Czy mówiłaś już, Joanno?

Joanna: — Ty jesteś włączony w nasze życie, Krzysztofie. Byłeś świadkiem nieszczęścia Jakuba. Cierpiełeś przez niego. Nie możesz się odwracać od tych spraw. Ty — prawdziwy sędzia Jakuba.

Krzysztofe: — Mam ustalony pogląd na to wszystko. Nie chcę wracać do tamtych czasów, choć dobrze je pamiętam.

Jakub: — Musisz to zrobić, abym mógł na nowo żyć. Masz prawo nie chcieć. — Wiem, co dla mnie czujesz i dobrze to rozumiem. Nie mam nic na swoją obronę, bo ktoś taki jak ja, nie powinien ulec, tak ostatecznie, tak spaść do dna.

Joanna: — Krzysztofie, to wielka sprawa naszego życia. Mojego i Jakuba.

Krzysztofe: — Nie zechcesz chyba w siebie wmawiać, że jesteś współwinna z nim.

Joanna: — Jakub nikogo nie ma, tylko mnie.

Krzysztofe: — Należysz także do mnie. Joanno, co się z tobą dzieje?

Joanna: — Nie możemy ominąć Jakuba, Nie możemy, Krzysztofie.

Krzysztofe: — To są sprawy już zakończone dla mnie. (do Jakuba) Jeśli kto, to tylko ja mógłbym czegoś żądać od ciebie. Nie żądam niczego.

Jakub: — Wyszedłeś stamtąd czysty, dlatego łatwe to jest dla ciebie. Więcej, wyszedłeś stamtąd, jak święty. Jak męczennik.

Krzysztofe: — Przesadzasz. Nie myślę tak o sobie i wcale tak nie było.

Jakub: — Tylko dzięki tobie tamci mogli przetrwać. Każdemu mogłeś pomóc. Byłeś tam otuchą i nadzieją wielkiej ilości nieszczęśliwych ludzi.

Krzysztofe: — Od nich to zależało, aby mogli przetrwać. Dużo było takich, którzy zginęli. Tu było prawdziwe męczeństwo. Nikt o nich dziś nie wie. Zresztą, czyż można o tym mówić. Lepiej... lepiej milczeć. Za wielkie było ich cierpienie.

Jakub: — Pamiętam ich. Każdy z nich od ciebie brał siłę. Wystarczyło twoje wejrzenie. Czasami słowo, rzucone w przejściu. Uścisnął ręki. Nocami czołgali się do ciebie, jeśli ty nie zdążyłeś być wśród nich. Ach Krzysztofie. Cóż innego czynili ludzie uznani za świętych!

Krzysztofe: — To była zwykła, ludzka rzecz. Nic więcej. Wielu było takich.

Joanna: — Wtedy, gdy cię poznałam, odczułam, Krzysztofie, to, o czym mówi Jakub. W szpitalu zastawałam zawsze chorych przy twoim łóżku. Nie mogłam się nadziwić. Kochali cię. Czyż można cię było nie kochać? Płakali, gdy odjeżdżałeś. Mówili, żeś ich prawdziwie uzdrawiał. Coś w tobie otwiera się, Krzysztofie, gdy zechcesz, — gdy cię poruszy czyjaś nędza widocznie...

Krzysztofe: — Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Na pewno się myliśz, Joanno. Nie się we mnie nie otwiera, myliśz się.

Joanna: — Nie myślę się. Bo inaczej, czyż mogłabym wtedy pójść za tobą? Czyż mogłabym zapomnieć o nim?

Jakub: — Jesteś powiązany z naszym życiem. Tam mogłeś mnie ocalić — nie chciałeś.

Krzysztofe: — Jak to?

Jakub: — Padłem ci raz do nóg. Przyszłaś, nie dałaś mi nic z siebie. Zrozumiałem, że nie ma już dla mnie żadnej drogi. Straciłem nadzieję.

Krzysztofe: — Nie mogłem wtedy nic zrobić dla ciebie.

Jakub: — Nie chciałeś. Napewno nie wiesz co to jest strach, co to jest zwierzęcy, podły strach.

Krzysztofe: — Nieprawda! Myliśz się! Tak, tak: myliśz się...

Jakub: — Jak to? ty? — to niemożliwe.

Krzysztofe: — Nie mogę o tym mówić!

Czego ode mnie chcesz? Czyż nie dosyć tego, co było? Czego ode mnie chcesz?

Jakub: — Nie poznaję cię. Jesteś twardy, jakby nie ten sam. To niemożliwe.

Krzysztof: — Jestem prosty, zwykły człowiek. Czy to takie dziwne? To cóż, że tam było inaczej? Nie jestem święty. Nie mogę wszystkiego uznać za prawdziwe, co mówiłeś. Tak mogło wyglądać w twoich oczach. Byłeś

rzeczywiście poniżej nas, więc stamtąd, z dołu, każdy ludzki uczynek wydawał ci się świętością. Nie mogę... Nie powinienem... do tego się przyznawać. Niektóre tylko rzeczy, jeśli je sobie przypomnę, wydają mi się, jakby z cudzego życia. Nigdy nie wiadomo, co nas wynosi wysoko, a co spycha w dół.

Jakub: — Chcę się stamtąd wydostać. Ty jeden możesz to uczynić. Aby mi mógł żyć na

nowo. Masz przed sobą moje życie, nędzny lachman. Ratowałeś tamtych, — więc teraz... Krzysztofie...

Krzysztof: — Na to, co jest z tobą, nie mam żadnej rady. Nic pomóc nie mogę, choćbym nawet chciał. Choćbym chciał — nie mogę... nie potrafię...

Jakub: — (zaplakał) Krzysztofie. (chwila pauzy).

Joanna:—Jesteś bez winy, Krzysztofie, i nie pomóc nie możesz. Dawaleś ludziom nadzieję, która ich ratowała. Czy naprawdę niema dla Jakuba nadziei? czy nie ma ratunku?

Krzysztof: — Nie wiem, Joanno. Nie wiem, Jakubie. Nie wiem.

K u r t y n a.

AKT I

(przed gospodą)

Sanszo: Panie, mam dość służby u was! Stałem się pośmiewiskiem całego świata! Czekalem na królestwo, a zyskałem tylko śmiech i pogardę ludzką... Cierpliwie czekałem. Lata całe znosiłem drwiny drugich. „to duren tego szaleńca”!

Don Kiszot: Sługo niewierny!

Sanszo: Nie wymyślajcie mi! Słów waszych się już nie lękam!

Don Kiszot: Złym ci byłem panem?

Sanszo: A tak! Byliście złym panem! Gorszym nie można być! Co mam za służbę? Jedzenie? Pies by się uśmieł! Do zakonu mi się zapisać niedojadków, a sytszy będę niż u was! Kobyła wasza wróżbą mi przed oczami stoi. Chwieje się na nogach i wiatr z litości jej tylko nie przewraca! Skórę własną niedługo wygryzać będzie, bo sierść już wygryzła, a na owies nie ma pieniędzy! Nocleg? Dach nad głową?... Te wszystkie zamki, które mi obiecaliście to szopy, gospody dla żebraków i włóczykiów, z których wyrzucą nas gospodarz, bo jesteśmy dla niego zbyt nędzną klientelą! Nie policzę guzów na ciełe od pięści wyrzucających nas! Matka własna by mnie nie poznała!... A zaklinała mnie żona na wszystkie świętości, na Madonnę, na świętą Katarzynę i Zofię, na proroków i archaniołów... Wstyd, wstyd mi tylko pozostał! Wstyd własnej głupoty!

Don Kiszot: Nieszczęsny!

Sanszo: Nie, panie! Wymowni jesteście. Znam was. Słuchałem was nieraz! Najpierw ze czcią i nabożeństwem, później z powątpiewaniem. Dziś wam nie wierzę! Mam dość!

Don Kiszot: Więc teraz — kiedy otwierają się wszelkie możliwości, kiedy się ma stać to...

Sanszo: Jeszcze raz powracacie do swych czczych obietnic. Ileż razy — głupiec — wierzyłem wam! I wy sądzicie, że jeszcze raz uwierzę? Nie wytyżajcie języka! Lepiej mówcie z kamieniem. Dość się przez was ośmieszyłem. Ludzie palcami mnie wytykają, drwią sobie ze mnie.

Don Kiszot: (wstał). Kto się ośmieszył drwić z mojego sługi?

Sanszo: Kto? Wszyscy! A może z was nie drwią? Panie, wyście pijani! Przecież jesteście pośmiewiskiem całego świata! Wszyscy wołają za wami: rycerz kościotrup na szkielecie konia! Rycerz z sieczką w głowie! Matko Boska, skąd na mnie przyszło to opętanie? Mogłem szczęśliwie żyć, szanowaliby mnie wszyscy...

Don Kiszot: I mógłbyś się na to zgodzić, że niewinni będą ciemieni, że podli uciśkać będą szlachetnych? I mógłbyś...

Sanszo: O Boże, znowu to samo! Znowu to samo!

Don Kiszot: Chcieliśmy uwolnić...

Sanszo: Kogo uwolnić? Ośmie szylście się tylko, nic więcej! Nikt waszej obrony nie chce! Szalenie z was! Zły duch was opętał, wojownik z młynami i owcami!

Don Kiszot: Mnie zły duch opętał?

Sanszo: A któż by jeśli nie zły duch przejął was takim szatem? Modliłem się nieraz: Panie, oświeć go! Ale widać — zatraceni i przez Boga opuszczeni jesteście!

Don Kiszot: Ja — przez Boga opuszczony?

Sanszo: Wy — nie kto inny! Inni żyją spokojnie Bogu na chwałę, ludzom na pociechę. I mnoży się ich dostatek i domy ich pełne są gości. I przyjaciele mają i poważanie i szacunek ludzi. A wy? A wy? Wstyd — wstyd i nic więcej! Ja mam wstyd z wami!

Wojciech Bąk

SŁUGA DON KISZOTA

(fragmenty)

Don Kiszot: Szaleńcze, milcz! To tobie zły duch zmaćcił myśli w głowie! Tobie!

Sanszo: Nie mnie! Nie mnie! Wam!

Don Kiszot: I cóż ty zamysłasz robić?

Sanszo: Wrócić do La Manszy. Tam ojczyzna. Tam swojacy. Dość wycierania pleców po różnych kątach po to tylko, żeby po tych plecach dostać! Dość głupstw! Dość szaleństwa! Wy róbcie, co chcecie! Jedźcie na sam koniec świata, jeśli wam to miło! Ja mam dość! Chcę mieć spokój, chcę mieć poważanie i szacunek!

Don Kiszot: A posłannictwo?!...

Sanszo: O nie, nie nabierzecie mnie już na te wszystkie fanaberie! Byłem głupi, dziś głupi nie jestem! I głupim już nie będę!

Don Kiszot: Sanszo!

Sanszo: Niepotrzebnie mnie chcecie przekonywać! Zaoszczędźcie sobie słów. Namówcie wiatr, niech będzie waszym sługą! Innego nie znajdziecie. Dość długo się męczyłem, dość długo milczałem! Dziś już milczeć nie chcę i nie będę! Całą noc nie spałem! Rozmyślałem o wszystkim i teraz wiem jak postąpić.

Don Kiszot: I chciałbyś sam powrócić?

Sanszo: Sam wrócę. Niech się dzieje, co chce. Na bosych nogach szedłbym, poszcząc i susząc. Byłoby tylko być w La Manszy, byle tylko móc odpocząć po tych szaleństwach. Jak pies beapafski tułałem się, aż narłem się głodu i hańby. Jestem zmęczony. Wczoraj chciałem porozmawiać z chłopami tutejszymi. I rzekli mi: „z głupcem nie mówimy”. Przez was to, przez was to jestem tak pohażbony!

Gospodarz powiedział mi, że jeśli do jutra wieczora z tym szaleńcem nie opuszczę gospody, każe nas psami wyszczuć. Przez was to, przez was to moja hańba!

Don Kiszot: Sanszo!

Sanszo: Nie przyszedłem tu na rozmowy, ale na pożegnanie. Chcecie wracać, to wracajcie razem. Chcecie jechać dalej, jedźcie sami. Ja już nie będę waszym sługą!

Don Kiszot: Sanszo! Posłuchaj!...

Sanszo: Nie! Nie!

Don Kiszot: Na rany Pana naszego na Jego pierś rozdarta, na krew ciekącą ze skroni świętej, na gwoździe w Jego dłoniach...

Sanszo: Nie!

Don Kiszot: Na wieczne zbawienie duszy mojej i na jej potępienie wieczne!

Sanszo: Czegóż chcecie?

Don Kiszot: Słuchaj — dziś jest dzień wielki! Przeczekał tylko ten dzień jeszcze! Szatan cię kusił, że właśnie w ów dzień chcesz odchodzić, w który stać się ma cud?

Sanszo: Znowu gadacie o cudach?

Don Kiszot: Wszystko, co mówiłem, stać się musi!

Sanszo: Cóż się musi stać?

Don Kiszot: Widzisz tę księgę?

Sanszo: Zawsze jej używacie.

Don Kiszot: W niej są prorocтва pod postacią opowieści.

Sanszo: Dużoście rzeczy już wyprorokowali!

Don Kiszot: Tak — myliłem się. Tak — źle tłumaczyłem. Ale wczoraj ukląknę, pomodliłem się do Pana z wszystkich głębin duszy: Panie, oświeć chwiejny umysł mój! Daj mi

zrozumieć i spełnić wielkie dzieło — to dzieło, które, czuję to każdym moim oddechem, każdą moją kroplą krwi w żyłach, każdym gestem, westchnieniem i uśmiechem, jest mi przeznaczone. Dzieło rycerskie, dzieło święte... I potem zacząłem czytać. I pojąłem jasnością wielką, że dziś — że dziś ma się stać to dzieło, o którym marzyłem!

Sanszo: Jakież to dzieło?

Don Kiszot: Uważaj, Sanszo, uważaj! A pojmiessz, jak szatan cię kusil!

Sanszo: Nie przeciągajcie, panie struny! Już nieraz zwiedliście mnie! Ja nie chcę być więcej zwodzony!

Don Kiszot: Sanszo, powiedz mi...

Sanszo: Mówcie, co się ma stać.

Don Kiszot: Najpierw powiedz mi, co sądzisz o pytaniach, które ci zadam.

Sanszo: Mówcie więc.

Don Kiszot: Powiedz mi, Sanszo — ale z głębi serca — czy przystoi to już nie rycerzowi, już nie chrześcijaninowi, ale w ogóle człowiekowi — zagrzebywać się tylko w śmietniku własnego spokoju bez względu na to, co się dzieje wokół?

Sanszo: Nie rozumiem was, panie

Don Kiszot: A więc powiedz mi, czy jest godne — już nie chrześcijanina, już nie rycerza, ale człowieka — patrzeć na honor pohażbony, na niewinność zgwałconą, na niewinność zbrodniczą, zbrodniczą i siedzieć spokojnie i być zadowolonym?

Sanszo: Niegodne to jest i hańbiące dla człowieka. Któż by mógł się na to godzić? Toć by nikt taki głupi nie był, aby się temu nie sprzeciwił!

Don Kiszot: Otóż widzisz, Sanszo, świat jest pełen podłości. I jakże godzić się na nią?

Sanszo: Skoro innej rady nie ma... Przecież wszyscy żyją, nie troszczą się i dobrze im z tym.

Don Kiszot: Masz słuszność, Sanszo! Ale ja wierzę, że jeśli tak robisz, to czynisz źle.

Sanszo: Chyba tak i jest. Toć i ksiądz na ambonie nie inaczej mówi.

Don Kiszot: A widzisz, Sanszo!

Sanszo: Ale siedzi spokojnie, a nie gania po świecie, jak wy!

Don Kiszot: Widzisz, Sanszo, ja wierzę, że on to tak robi dlatego, że nigdy nad tym głębiej nie pomyślał. Że jak u wszystkich, tak i u niego, oczy są otępione, członki jego zmiękzone i bezmyślnością zatwardziały serce.

Sanszo: Nieładnie, że się tak o księdzu proboszczu wyrażacie. Nie podoba mi się to.

Don Kiszot: Otóż widzisz, Sanszo, ja patrzę na życie.

Sanszo: I cóż widzicie?

Don Kiszot: Widzę, że i ja byłem ślepy. Zawsze czułem, że świat jest pełen krzywdy, a wreszcie te księgi, które pozostały u mnie w domu i ta, najczciwocniejsza, zdarły ślepotę z moich oczu. I przejrzałem, że nie wolno mi być spokojnym, kiedy szlachetni są prześladowani przez nikczemnych, są uciemiężeni, pohażbieni i ścigani.

Sanszo: I walczyliście z wiatrakami i baranami?

Don Kiszot: Myliłem się. Żle rozumiałem.

Sanszo: A skąd wiecie, że się teraz nie mylicie?

Don Kiszot: Błagałem Boga najgorętszą prośbą, by oświecił mnie. I wierzę, wierzę, że mnie oświecił!... I wierzę, że dzisiaj się nie mylę.

Sanszo: Zawsze mówiliście, że się nie mylicie.

Don Kiszot: Ale nigdy nie byłem tak pewny jak dzisiaj. I mówię ci: jeśli bym miał się teraz omylić — nie wierzę więcej w nic! Widocznie jestem igraszką szatana. Widocznie mózg mój poplątał się. Język mój pomieszał się i wszystko, co mówię, co czuję, co czynię, jest tylko diabelską zabawą. Niczym więcej. I wtedy, Sanszo, zabierzesz mnie z powrotem do domu.

Sanszo: Więc zgodzicie się wtedy wrócić?

Don Kiszot: Nie tylko się zgodzę, ale nawet błagam cię, zabierz mnie! A gdybym miał się — podle narzędzie szatańskie — opierać, zakuj mnie w łańcuchy i zawlecz do La Manszy na hańbę całemu światu, aby matki ostrzegały dzieci przed omanem diabelskim, aby ojcowie obelżywym przekleństwem na zgrozę całej ludzkości jako szaleńca mnie piętnowali...

Sanszo: Panie...

Don Kiszot: Ale tak nie będzie. Sanszo. Ja wiem, że nie jestem pod strażą diabelską, ale pod miłościwą opieką Pana naszego. I że nadchodzi dzień chwały, w którym Don Kiszot i Sanszo Pansa sprawę swoją wygrają. I będzie im dane królestwo...

Sanszo: Mówcie chłodno i spokojnie.

Don Kiszot: O małoduszny człowieku! Kiedy sława stoi tuż przed nami, kiedy słońce głosi ją, kiedy niebo i ziemia triumfują objawieniem — ty mówisz o chłodzie i spokoju, ty się zastanawiasz, ty chciałbyś się cofnąć... Sanszo, czy klamatem kiedy?

Sanszo: Tego nie mogę powiedzieć. Zbyt jednak gorąca wasza krew i myliliście się co niemiara!

Don Kiszot: Myliłem się. Przyznaję. Ale mogę ci przysiąc na wszystko, że dzisiaj się nie mylę! Na Trójcę świętą, na Pana naszego, na Pannę Świętą!

Sanszo: Cóż więc ma się dzisiaj stać?

Don Kiszot: Uważaj, a każde słowo zapisz sobie w sercu, bo będziesz je wnukom opowiadał!... Oto królowa Wschodu przyjdzie do tej gospody.

Sanszo: Królowa Wschodu?

Don Kiszot: Tak, niewierny Tomaszu! Przyjdzie tutaj!

Sanszo: Do takiej marnej gospody?

Don Kiszot: Nie przerywaj!... Przyjdzie do tej marnej gospody, bo uciśniona jest i nigdzie obrony znaleźć nie może!

Sanszo: Jakże to? Królowa — a wojska nie ma?

Don Kiszot: Nie ma. Czarownik, stępujący jej bratu, omamiał wszystkich i nie poznają jej.

Sanszo: Toć by przecież inni królowie zajęli się jej sprawą.

Don Kiszot: Zajęłby się? Władzisz, jak się wszyscy wszystkimi zajmują! Mógłbyś umrzeć na ulicy z głodu i nikt by ci nie pomógł!... Tępi są i wygodne mają serca.

Sanszo: Cóż więc my możemy im pomóc?

Don Kiszot: Otóż właśnie i może my!... Ściga ją brat, żeby ją zamordować. Dzisiaj — tak w tej czcigodnej księdze napisane — ona tu przybędzie. A za nią podły brat, żeby ją zgładzić ze świata.

Sanszo: Cóż my mamy zrobić?

Don Kiszot: Uwięzić go lub nastraszyć, a czarownik będzie nam wtedy wydany i odwoła swoje czary. I królowa Wschodu powróci na tron pełen chwały. I my — my będziemy jej obrońcami!

Sanszo: Nieskładne to, co mówicie. Nazbyt podobne do wszystkiego, co dotychczas mówiliście!

Don Kiszot: O Tomaszu niewierny! Niedługo zaczniesz wątpić i w to, że słońce świeci! Patrz, patrz!... (podaje mu książkę). Czytaj!

Sanszo: Nieuczony ja — wiecie o tym. Gdzież mnie takie księgi czytają?

Don Kiszot: A więc przysięgam ci na Trójcę Świętą!

Sanszo: Nie, nie! To niemożliwe!

Don Kiszot: I w tym dniu, w tym dniu ostatecznej próby...

Sanszo: Niechaj więc będzie jak chcecie. Niechaj to będzie ostatni dzień. Ale jeśli się nie spełni to, co mówicie, powracamy do domu?

Don Kiszot: Nie spełni się? O człowieku niegodny objawienia!...

Sanszo: A czy wtedy wracamy do domu?

Don Kiszot: Tak, wtedy wrócimy do domu. Wszak ci to już przysięgłem. Puste to zresztą przysięczenie, bo widzisz — widzisz — już królowa idzie! Widzisz, wysiada z powozu — tak jak powiedziane w księdze! Tak jak ci mówiłem!

(Wchodzi dama. Sanszo przypatruje się całej scenie z zainteresowaniem. Don Kiszot idzie naprzeciw damie i klęka przed nią.)

Don Kiszot: Królowo, otom twój rycerz!

Dama: Uprzejmy z was kawaler... Ale po co klękacie?... Wstańcie panie.

Don Kiszot: Klękam przed zhańbionym i zelżonym majestatem, który w swym pokrzywdzeniu większy ma jeszcze blask i chwałę...

Dama: Czyżbyście byli, panie, poetą, że układne słowa tak gładko wam płyną?

Don Kiszot: Łaskawą jesteście, miłościwa panie!

Dama: Nie mam niestety żadnych tajemnic, więc nie wiem, o co wam chodzi.

Don Kiszot: Jeśli wam tak szczerze mówię, to nie dlatego, żebym was chciał badać. Wiercie mi, że ramię to i mlecz ten tylko dla waszej obrony gotowe są do czynu!

Dama: Wierzę wam, panie — ale doprawdy nie rozumiem, po co mielibyście mnie bronić, kiedy mi nikt nie zagraża.

Don Kiszot: Władczyni, pozwólcie, że wyrażę swój podziw dla waszej umiejętności przemilczania!

Dama: Dziękuję wam za miłe słowa — ale całe wasze zachowanie jest dla mnie zagadką. Ponieważ jednak nie przystoi mi z nieznanym tak długo rozmawiać, żegnajcie. Jeżeli macie jaką ważną sprawę do załatwienia, to pomówcie o niej z moim bratem. Za chwilę powinien tu być. Zatrzymał się w miasteczku, gdyż czekał rano sprzączka u bućka. Po

szedł kupić nową sprzączkę. Zaraz tu będzie.

Don Kiszot: Ufajcie mi, pani! Żegnaj was, miłościwa pani, jej korny sługa.

Dama (wychodzi).

Don Kiszot: I widział, jak się wszystko spełnia! Widziałeś to oblicze pełne majestatu, ten chód godny córy królów i magów! Jesteś już teraz przekonany?

Sanszo: Panie, róbcie, co chcecie. Jest to ostatni dzień próby.

Don Kiszot: Jest to pierwszy dzień chwaly! O słońce, o dobre triumfujące, zwycięskie słońce! O zrenico Pana mego! Jeszcze nigdy nie wydawało mi się słońce tak piękne, jak dzisiaj! (po chwili) Sanszo, słyszałeś, co mówiła o swoim bracie?

Sanszo: Nie radziłbym wam z nim zadzierać!

Don Kiszot: Jakże byś nie radził? Jakże ja, którego najmizerniejszy uciśniony grzesznik, zmusza do wydobycia miecza, a pohańbiony nędzacz wzywa do walki z napastnikiem — jakże mógłbym znieść, że ta niewinność, której nie kwiaty, ale najczystsze obłoki powinny zazdrościć czystości — ten powab, ten wdzięk — były zagrożone podstępem i nikczemnością? Prędzej to słońce w księżyc się zamieni, to niebo południa w głuchy całun nocny — a góry te rozplyną się rzekami — niżby serce moje mogło tak skamieniać, żeby nie zmusiło mnie do walki w jej obronie! Umarły powstałbym z grobu na ratunek tego piękna!... Ale oto idzie jej brat... (wchodzi Alfons). Panie, czy wy jesteście bratem tej damy, która tu przed chwilą przyjechała? Mówiła mi, że sprzączka wam u bucika pękła...

Alfons: Chyba o mojej siostrze mówicie... Tak, tak, na pewno...

Don Kiszot: Panie! Królowa Wschodu ma obrońcę!

Alfons: A cóż z tym wszystkim ma królowa Wschodu do czynienia?

Don Kiszot: Znam wasze podstępne zamiary!

Alfons: Co to ma znaczyć?

Don Kiszot: Panie, wzywam was na krew Pana naszego, na pamięć męki Jego, zaniechajcie swych niecznych zamiarów!

Alfons: Zdaje mi się, szlachetny rycerzu, że już z rana zagładniście do szklanczy. Mówili mi zawsze doświadczeni ludzie, że to jest niebezpieczne i niezdrowe, szczególnie w dni tak upalne, jak dzisiejszy.

Don Kiszot: Obrażacie mnie!

Alfons: Nie było to moim zamiarem. Dziwi mnie tylko wasze zachowanie. Nie mam zresztą ochoty do rozmowy. Pozwólcie mi iść swoją drogą, a wy idźcie swoją (chce wyminać Don Kiszota).

Don Kiszot (dobywając miecz): Stać!

Alfons (dobywając miecz): Co to ma znaczyć?

Don Kiszot: To ma znaczyć: wasza hańba i nikczemny zamiar są mi znane! Ten miecz nie pozwoli wam iść dalej!

Alfons: Dość tych nieprzyzwolonych żartów!

Don Kiszot: Panie, dość już dokonaliście zbrodni. Niebiosy chyba by runęły, gdyby ta zbrodnia jeszcze się miała dokonać! Anieli jęczeliby z przerażenia!... Ale ona się nie dokona, bo ja tu jestem! I nie pomogą wam czarownicy, bo miecz ten poświęcony najświętszym aniomom i celom!

Alfons: Precz stąd!

Don Kiszot: Ani kroku! Dość nacierpiała się siostra wasza!

Alfons: Moja siostra się nacierpiała?

Don Kiszot: Nie udawajcie, że nie jest królową Wschodu!

Alfons: Wyście oszaleli?

Don Kiszot: Nie ja, ale wyście oszaleli, skoro chcecie dopuścić się występku, po którym sam Bóg nie czułby się pewnym w tronie!

Alfons: Odsun się!

Don Kiszot: Już się nie cofnięcie — miecz ten napoi się waszą krwią!

Alfons: Z drogi!

Don Kiszot: A więc — w imię Boga!

(Pojedynkują się. Z gospody krzyki: znowu ten szaleniec! Chodźcie! Wybiega Dama, za nią służba.)

Dama: Panowie, co się tu stało?

Alfons: To szaleniec!

Don Kiszot: Ciesz się, pani! Będziesz wolna!

Dama (wpadając między nich): Rozłączyć ich! Na miłość Boską rozłączyć ich! (służba rzuca się na walczących).

Don Kiszot: Pani, pozwól mi walczyć! Niech ten nikczemnik skona!

Dama: Alfonsie, co się tutaj stało?

Alfons: Nic nie rozumiem! Napadł na mnie nagle ten szaleniec, belkocząc coś o królowej Wschodu!

Don Kiszot: Pani nią jesteście! Przyjm hold od swego rycerza!

Dama: Przecież to obłąkany!

Don Kiszot: Nie obłąkany, ale rycerz wasz, pani. Znam waszą krzywdę. Wiem, że wasz chciał z tronu zrzucić i zamordować!

Gospodarz (wchodzi): Co się tu stało?

Alfons: Napadł na mnie ten szaleniec!

Gospodarz (do Alfonsa): Kim pan jesteście?

Alfons: Jestem Alfons Vardegaz. Kupiec pobożny i cnotliwy, a to moja siostra Blanka.

Don Kiszot (do Gospodarza): Nie wierz pan — to królowa Wschodu.

Alfons (do Gospodarza): Oto nasze papiery. Jedziemy do Sewilli. Chcieliśmy tu jeden dzień odpocząć. Myśleliśmy, że jest to gospoda dla porządnym ludzi. Myliliśmy się, widać!

Don Kiszot (do Gospodarza): Nie wierz mu, panie! To zbrodniarz, który chce zgubić królową Wschodu!

Gospodarz (do Don Kiszota): Precz mi z tym szaleniec! Niech go oczy moje nie widzą! Precz mi! Dość mojej cierpliwości. Niech nie hańbi więcej mego domu!

Don Kiszot (popychany przez służbę): Pani, na wszystkie świętości zaklinam was, powiedzcie: jesteście czy nie jesteście królową Wschodu? (wszyscy wybuchają śmiechem).

Dama: Jak słyszeliście, jestem Blanka Vardegaz, a o żadnej królowej Wschodu nawet nie słyszałam.

Gospodarz: Wybaczcie państwo, tak dziwne przyjęcie... (do służby) A tym szalencom wyrzucić wszystkie ich rzeczy! Niech mi się w tej chwili wynoszą... Człowiek się tyle napracuje, żeby honor gospody utrzymać, a tu taki... taki łajdak... Cały posag mojej żony włożyłem w gospodę — a tu szaleniec dobrą sławę niweczy!

(Wszyscy idą do gospody prócz Don Kiszota i Sanszo Pansy. Po chwili służba wyrzuca przez okno ich rzeczy.)

Sanszo: Panie, czas nam powracać do domu.

Don Kiszot: Nie, nie, to niemożliwe! To nie może być prawda! Sanszo, to chyba sen!...

Sanszo: Jeszcze diabeł was kusił?

Don Kiszot: Sanszo, obudź mnie z tego snu!... Przecież to nie może być!...

Sanszo: Widać Bóg już zupełnie was opuścił!...

Don Kiszot (po chwili wybuchając płaczem): Tak, Sanszo!... Diabeł mnie opętał, Bóg mnie opuścił!... Niebiosy wydrwiły mnie!... Jestem hańbą, pomiotem szatańskim!... I zgroza mnie przejmują nad sobą!... A przecież tak Go błagałem: wskaż mi drogę!... Bóg mnie opuścił! Bóg mnie opuścił! Niech się więc zbrodnia krzewi, niech podstęp łamie cnotę, niech dziecko zabija cjea, matka truje syna, niech można deptać słabego, niech podły znieważa sławę i cnotę! A najlepiej niech się niebo zawali! Koniec, koniec!... Niech będzie koniec! Bóg mnie odtrącił! A ja szaleniec, starałem się spełnić tylko Jego wolę! Za co mnie Bóg odtrącił? Niech się więc dzieje, co się dzieje! Niech się zagryzą, niech się

rozszarpia — aż pozostanie tylko jeden, — najpodstępniejszy! Najmściwszy!... A najlepiej niech będzie koniec! Koniec! Niech będzie koniec! Śmierci mi trzeba! Śmierci mi trzeba!...

AKT IV

(Pokój Don Kiszota. Słychać w oddali burzę.)

Sanszo: Panie!...

Don Kiszot: Kto się ośmiela wchodzić w ten przybytek upodlenia? Tu leży pośmiewisko szatana. Odejdź stąd. Idź między trędowatych. Trąd jest kwiatem niewinności wobec trądu, który mnie pożera. Odejdź! Odejdź! Nie wdychaj zarażonego powietrza!

Sanszo: Musiałem do was przyjść!...

Don Kiszot: Musiałeś! Musiałeś pobożny chrześcijaninie przyjść, żeby zobaczyć całą hańbę!...

Sanszo: Panie!...

Don Kiszot: Nie mów „panie”! Nie panem ja jestem, ale najpodlejszym z ludzi. Piętnuj, piętnuj mnie! Natura cała wzdyga się z przerażenia, patrząc na mnie! Gwiazdy bledną, kiedy na mnie spojrzą. Wiatr wieje wiecznym oskarżeniem! Słyszysz? Słyszysz?

Sanszo: To burza się zbliża!...

Don Kiszot: To nie burza! To natura gniew swój wypowiada! Nabrzmiały jej płuć przekleństwami! Jam narzędnik szatana! Jam gorszy! Słyszysz! Znowu bije grom!

Oto majestat Boży uniósł się i gromami mnie piętnuje! Czemuż milczysz? Mów! Mów! Nie miej tylko zgubnej litości dla mnie, bom ja nie litości, ale pogardy godzien! Słyszysz! Znowu grom!

Sanszo: Jeśli majestat Boży tak przeklina, to nie was, panie!...

Don Kiszot: Kogóż by, jeśli nie mnie?

Sanszo: Nie was, panie!...

Don Kiszot: Mnie — łup szatana!

Sanszo: Nie jesteście łupem szatana! To ja wam mówię! Jeśliście wy łupem szatana!...

Don Kiszot: Człowieku, czyż zapomniałeś już moje zbrodnie i szaleństwo? Mam że ci je wszystkie powtarzać?!

Sanszo: Nie zapomniałem nic. Wszystkom spałem. Noce i dnie rozmyślałem... I dziś zrozumiałem.

Don Kiszot: Cóż ty rozumiałeś?

Sanszo: Że nie jesteście łupem szatana, ale łupem Boga.

Don Kiszot: Człowieku, idź zaklinam cię, do spowiedzi! Wyznaj przed Wszemmocnym swój błąd. Odwołaj te słowa!

Sanszo: Nic nie mam do odwołania.

Don Kiszot: Wzwyj Madonnę, wzwyj wszystkich świętych! Niech wyzwolą cię! Czyż nie wystarczy ci widok tego pohańbienia, w którym ja jestem? (bije grom). Słyszysz! Słyszysz!

Sanszo: Panie, serce mi się rozdziera, kiedy na was patrzę!

Don Kiszot: Niech się rozodrę, byleś się uratował!

Sanszo: Panie, obraza Boską jest wszystko, co mówicie!

Don Kiszot: Nie, to jest pochwała Boska! Dawniej ja nędznik ośmielałem się wznosić przeciw Panu!

Sanszo: Nigdyście się przeciw Panu nie wzniesili!...

Don Kiszot: Wzniosłem się! Bo nie mogłem się godzić na to, że jest tak, jak jest! Tak jak Bóg chce. Jam się ośmielał naprawiać jego wyroki!

Sanszo: Jakże to? Pan miałby się godzić na zwycięstwo hańby?

Don Kiszot: Nie mnie. Jego sądzić, nie mnie! Nie mnie zagładać w Jego wolę! Nie mnie sprzeciwiać się jej! Niech zło szaleje! Niech się wszyscy zagryzą!...

Sanszo: Więc Pan miałby się godzić, żeby podły cnotliwego i niewinnego gnębił? Błuznicie teraz!

Don Kiszot: I ja tak myślałem. Jak ty! I jeszcze teraz w podłym sercu buntowniczym ta grzeszna myśl się wznosi! Człowieku, jeśli nie chcesz

wpść w tę samą zatrąę — cofnij się, cofnij się!

Sanszo: Panie, mam ja prosty umysł, gdzie mnie tam do waszych letów! Ale ja widzę, że bardzo was Bóg umiłował.

Don Kiszot: Nie bluźnij, człowieku!...

Sanszo: W was wiał święty ogień swój. Ten Pan, który uzdrawiał chorych, budził do życia umarłych, a kupców biczami wyrzucił ze świątyni — ten Pan umiłował was.

Don Kiszot: O szaleńcze, mury te zarażają, powietrze, którym oddycham, jadowitym się staje! Zguba, zguba w każdym moim słowie, w każdej myśli, w każdym ruchu!...

Sanszo: Nie panie! Nie zguba! Zarażacie — ale świętym ogniem, który w was płonie!

Don Kiszot: Ogniem piekielnym.

Sanszo: Ogniem niebieskim!

Don Kiszot: Nie, nie, nie! Człowieku! Jeszcze czas! Patrz! Ta burza!

Sanszo: Już ona przemija! Wiosna to burza!...

Don Kiszot (po chwili, cofając się ze wstretiem): Teraz wiem, teraz cię rozpoznałem! Tyś nie człowiek! Tyś nowy omam szatański!

Sanszo: Panie!

Don Kiszot: Precz stąd! Precz stąd!

Sanszo: Nie, panie! Nic odejść!

Don Kiszot: A więc wzywam was, wszystkie duchy święte, które okalacie tron Boży, męczennicy, dziewice święte i młodziankowe, aniołowie, Trony i Potęgi — uwolnijcie mnie od szatana!

Sanszo: Panie!

Don Kiszot: Znajdę na ciebie radę, duchu nieczysty! Oto wodą święconą cię kropię! Cóż to? Nie cofasz się?

Sanszo: Nie poznajecie mnie, panie? Przecież jestem Sanszo! Wasz sługa!

Don Kiszot: Nie! Tyś nie Sanszo! Nigdy by Sanszo tak nie mówił! Sanszo pierwszy wyrzekłby się tych słów, które mówisz! Sanszo, który pierwszy rzekł, że przez Boga opuszczony, łup szatana!

Sanszo: Nie rozerwijcie mi serca!

Don Kiszot: Sanszo? Nie! To nie Sanszo!

Sanszo: Panie! Pozwólcie mi porozmawiać!

Don Kiszot (milczy).

Sanszo: Panie, zły byłem, głupi i podły! Śmiałem się z was, drwiłem!...

Don Kiszot: Słuszne to było!...

Sanszo: Niestuszne! Po stokroć niestuszne! Dziś to zrozumiałem! Prawdą było, co mówiliście, że śpiący są ludzie, że tępe mają oczy i zatłuszczone serca!... Mają być to!...

Don Kiszot: Kłamstwo!

Sanszo: Nie przerywajcie mi! Kiedy widziałem waszą rozpacz, pomyślałem — on ci szalony, albo cały świat błędny!...

Don Kiszot: Jam jest szalony!

Sanszo: I ja tak myślałem! Ale nie miałem dnia ani nocy spokojnej! Kiedy słyszałem przez ścianę wasze jęki i płacze, myślałem coraz boleśniej!... Patrzałem na świat i badałem go, bo sumienie moje było niespokojne!... Prosty ja człowiek, nie czytałem mi wzniosłych ksiąg!...

Don Kiszot: Szczęśliwy, że ich nie czytałeś!

Sanszo: Ale ja w świecie wyczytałem moją wiedzę. I mówię wam i przysięgam wam na Trójcę świętą — wy mieliście prawdę! Świat szaleje!

Don Kiszot: Świat!... Cóż ty wiesz o świecie?!

Sanszo: Wiem, wiem! Orzy moje są trzeźwe i zimne. I zrozumiałem — nie wy jesteście szalony, ale świat, ale świat jest szalony!

Don Kiszot: Już się dałeś wciągnąć przez mamidła! Jak ja! Jak ja!...

Sanszo: Nie, panie! Nie ma w tym omamu, co mówię!...

Don Kiszot: I pójdziesz księżniczki ratować, czarodziejów szukać — ofiar szatańska!

Sanszo: Nie, nie pójde. Cóż mnie do księżniczek i czarodziejów? Jam jest prosty człowiek! Mamidła się mnie nie trzymają! Nawet sny mo-

je są ciężkie. Ale ja widział, że nie o księżniczki tu chodzi. Ale o zwykłych prostych ludzi, jak ja.

Don Kiszot (śmieje się).

Sanszo: Tak, wyście ulegali mamidłom!... Prawda to. I myślę, że to może dlatego, że w was było za wiele ognia boskiego. I on oślepił was. Wyście nie byli już człowiekiem, ale samym ogniem, żywym płomieniem. Gdzież mnie się z wami równać. Marny ja ptak. Mózg mój lichy i chwiejny. Uczucie moje powolne i słabe. Ale w jednym jedynym was przewyższam. Mam oczy, chłodne oczy.

Don Kiszot: I cóż ty tymi oczami dojrzałeś?

Sanszo: Dojrzałem, że są źli. I nie oni są tak groźni, bo nie jest ich tak wielu. Ale że gorsi niż źli, są letni, są nijacy, są śpiący, są tchórzliwi. Oni są Judaszami, którzy szatanowi zaprzędały ziemię. Oni są twórcami złych, bo może i źli by zły mi nie byli, gdyby oni nie byli tchórzliwymi i zaprzędanymi własnej wygodzie.

Don Kiszot: Cóż ty ode mnie chcesz? Po cóż ty do mnie przychodzisz?

Sanszo: Przyszedłem wam powiedzieć, że wasza jest prawda. I przyszedłem was zakłać — bądźcie spokojni! Nad wami miłościwa dłoń Pana naszego, nie szatańskie pazury. I przyszedłem was prosić o błogosławieństwo, zanim stąd wyjdę, żeby dokonać dzieła rycerskiego i świętego. Bo cóż bym ja był bez was? Byłbym śpiący i tchórzliwy, jak inni.

Don Kiszot: A jeśli zginiesz?

Sanszo: Tyle wam miałem do powiedzenia. A teraz idę. Życie szczęśliwi (zbliży się do drzwi).

Don Kiszot: Sanszo!

Sanszo: Czegóż chcecie?

Don Kiszot: Dokąd ty idziesz?

Sanszo: Idę ratować!

Don Kiszot: Kogóż to chcesz ratować? Szalony człowieku!

Sanszo: Panie, dzieją się straszne sprawy!

Don Kiszot: Mów że!

Sanszo: Słyszeliście o Don Ludwiku? Znacie go?

Don Kiszot: Nikczemny to człowiek!

Sanszo: Mało mówić — nikczemny. Bezkarność rozzuchwiała go tak, że stał się żywym szatanem.

Don Kiszot: Mów że!

Sanszo: Lud swój neką. Ale ostatnio niebiosy swymi zbrodniami wzywał. Bije i kopie wszystkich. Gwałci już nie tylko żony i matki, ale i nieletnie dzieci. Morduje, kto mu się sprzeciwi. Żyje piekło w jego wsiach. Ludzie już o samobójstwie myślą, żeby się utopić lub powiesić. Antychryst to prawdziwy jest!... Dzisiaj byli tu nieszczęśliwi z jego wsi.

Don Kiszot: U kogóż oni byli?

Sanszo: Tu byli, tu szukali księdza proboszcza. Żadnej sprawiedliwości w sądach nie ma dla nich. Przyszli więc do księdza proboszcza, żeby on jako sługa Boży!...

Don Kiszot: I cóż on — i cóż on? Mów że!

Sanszo: Tyle im powiedział — pokuta to dla was, z pokorą ją znoście! Tyle im powiedział — nie więcej! Nie więcej! I skazał ich na zgubę i zatrącenie, bo się bał, bo się bał!...

Don Kiszot (prostując się): Sanszo! Sanszo! Cóż chcecie, panie?

Don Kiszot: Siodłaj Rosynanta!

Sanszo: A po cóż wam Rosynant?

Don Kiszot: Nie pytaj. Tu chwili nie można tracić na czekanie. Jedziemy do Don Ludwika.

Sanszo (padając na kolana): O panie mój, miłowany! Znałem ci ja wasze serce! Wiedziałem, że choćby ziemia w lodową skorupę zastęła, wasze serce gorące zostanie!

Don Kiszot: Nie czas teraz na rozmowy! Siodłaj Rosynanta!

Sanszo: Nie ma Rosynanta!...

Don Kiszot: Gdzież jest szlachetny rymak mój?

Sanszo: Zdechł, panie, ze starości!... Ale po co wam, panie, Rosynant?

Don Kiszot: Zdechł Rosynant... Zdechł Rosynant... I jakże ja teraz jako rycerz wyruszę?

Sanszo: Toć nie potrzeba tutaj, żebyście wyruszyli. Ani rycerstwa tu żadnego nie potrzeba...

Don Kiszot: Jakże to?

Sanszo: Tylko byście sprawę pogorszyli. Jest ona już dość zła.

Don Kiszot: I ty, i ty się cofasz teraz! Widzę cię, szatanie. Przyszleś mnie dręczyć! Poznaję cię, duchu nieczysty! Piekielny Belzebubie!

Sanszo: Nie, nie cofam się. Tylko ja widzę, co i jak należy robić.

Don Kiszot: Cóż robić?

Sanszo: Nic ci tu rycerstwo nie pomoże. Don Ludwik wyszczubny nas psami. Nawet słowa by z nami nie raczył mówić.

Don Kiszot: Jakże to?

Sanszo: A tak, panie, nie inaczej! Jest to sprawa tak beznadziejna, że tylko wiara w Boga może ci pomóc.

Don Kiszot: Nic cię nie rozumiem.

Sanszo: Nic tu nie pomoże rycerstwo. Nic tu nie pomoże prawo, bo nie ma tutaj prawa, które by Don Ludwika przerażało. Nic tu nie pomoże ksiądz proboszcz, bo boi się...

Don Kiszot: Cóż więc może pomóc, szaleńcze?

Sanszo: Wiara w to, że jeszcze ziemia nie zastygła w bryłę lodu... że jeszcze gdzieś, nie wiadomo gdzie, żyje żywe serce ludzkie, że śpi ono tylko, ale jeszcze nie umarło...

Don Kiszot: W gorsze ty czary wierzysz, niżli ja wierzyłem... I co ty chcesz zrobić?

Sanszo: Pójdę do biskupa. Jeśli mnie nie wpuszczą, będę dniem i nocą strzegł jego domu i jeśli nie ina-

czaj, to choćby podczas podniesienia w katedrze, padnę na kolana, wołając o sprawiedliwość. Jeśli biskup mnie nie wysłucha, pójdę do sędziów, do generałów, do ministrów, do króla, do papieża...

Don Kiszot: Zginiesz! Jak Bóg miły, zginiesz!

Sanszo: Nie chcę ginąć i nie zginę. Niech łaska Boska mnie prowadzi! Po zwycięstwo idę, nie po klęskę!

Don Kiszot: Zginiesz.

Sanszo: A gdyby nawet?! Jeśli Bóg tak chce, zginę, nie będę się z nim spierał. Na jedno tylko się nie godzę — żeby miało być tak, jak jest! Z aniołami będę się mocował, aż nie znajdę ratunku. Albo śmierci.

Don Kiszot: Śmierć cię kusi.

Sanszo: A choćbym miał zginąć, wierzę w zwycięstwo!

Don Kiszot: A więc w imię Boże

i Matki Najświętszej wybierajmy się!

Sanszo: Jakże to? Przecież ja o sobie mówię. Nie o was!

Don Kiszot: Nie zostaną ja w takiej sprawie w domu. Hańba by to była. Jakże bym stanął przed sądem przedwiecznego?

Sanszo: Czystym staniecie, panie.

Don Kiszot: Nie, ja nie mogę zostać.

Sanszo: Panie mój miłowany! Trzcęwe są oczy moje i mówię wam — w tej sprawie byście tylko przeszkadzali. Jest to sprawa tylko dla jednego. Tu muszę iść ja sam. Tylko sam. Nie możecie iść ze mną.

Don Kiszot: Pójdę!

Sanszo: Nie, panie! Chybabyście chcieli zepsuć całą sprawę.

Don Kiszot: Więc sam chcesz odejść?

Sanszo: Nie, nie sam! Kłamstwo jest, co mówiłem! Nie sam idę.

Don Kiszot: Jakże to?

Sanszo: Nie sam, bo wy idziecie we mnie!

Don Kiszot: Ja w tobie?!

Sanszo: Bo nie szedłbym, gdybyście wy mi oczu nie otwarli. I nie szedłbym, gdybyście wy mi serca ogniem nie rozpalili...

Don Kiszot: To wszystko, jak sen! To nie może być jawą! Ja w tobie?!

Sanszo: Pochwyćcie mnie za rękę... Czujecie? Skóra... Czujecie? Kości...

Don Kiszot: (zbliżając się do okna) — dużo słońca w oknie! Boże. Boże! Jakże piękne jest słońce! Tak dawno słońca nie widziałem. Słońce, słońce! Zrenico Pana mego!

Sanszo: To Bóg się do nas... tak śmieje!

W. Bąk.

Michał Cervantes

PRZYGODY ORTELA BANEDRE

(fragment z powieści „Życiowe znoje Persilesa i Zygmunty”) — księga III, rozdział IV

W pewnej chwili zauważyli, że drogą królewską zbliża się do nich jakiś człowiek na koniu. Mijając ich zdjął kapelusz w grzecznym powitaniu. W tymże samym momencie nie zreczny wierzchowiec potknął się tak nieszczęśliwie, że padł wraz z jeźdźcem na ziemię. Wszyscy podskoczyli z pomocą wędrowcowi, myśląc, że stało mu się coś złego. Chwycił Antonio za uźdę wierzchowca, potężnego ogiera, a inni zatroszczyli się jego panem, jak tylko umieli, bardziej na wet niż zazwyczaj w takich wypadkach. Wiano mu w usła łyk wody. Wkrótce okazało się, że odniósł mniej obrażeń, niż myśleli i że zdolny jest do dalszej jazdy.

Może to znak losu, panowie — rzekł nieznamy — że upadłem na równą drodze, aby móc podnieść się z niebezpieczeństwa, w jakim znajduje się moja dusza, a to dzięki mojej zbyt żywej wyobraźni. Czy chcecie, czy nie chcecie, wiedziecie, że jestem cudzoziemcem, Polakiem. Jako giermek opuściłem swą ojczyznę i udałem się do Hiszpanii, jako do centrum ściągającego obojczyków i wędrowną matki wszystkich narodów. Służyłem Hiszpanom, nauczyłem się języka hiszpańskiego, jak panowie widzą — dobrze.

Gnany pragnieniem poznania obcych krajów, udałem się do Portugalii, aby zobaczyć wielkie miasto Tei samej nocy, w której tam przybyłem zdarzyło mi się coś, w co mo że uwierzycie, a może i nie. Jeśli nie — nic nie szkodzi, gdyż prawda zostanie prawdą, choćby miała istnieć tylko dla siebie samej.

Niespodziewane, a składne słowa nieznanego zdumiały Periandra i Aristelę, jako też ich towarzyszy Periandro upewnił go, że mu wierzą, gdyż są dobrze wychowanymi i doświadczonymi życiowo. Z przyjemnością posłuchają jego opowiadania.

Zachęcony tymi słowami wędrowiec ciągnął dalej: A więc idąc nocą ulicami Lizbony w poszukiwaniu lepszego zajazdu, niż ten, w którym się chwilowo zatrzymałem, znalazłem się w wąskim i brudnym zaułku. Jakiś zakapturzony Portugalczyk, gdy go miałem, popchnął mnie tak silnie, że padłem na ziemię. Nie mogąc powstrzymać swego gniewu, przekazałem zemstę szpadzie. Portugalczyk sięgnął po swoją z junackim animuszem i w ciemną noc mój ślepy los poprowadził koniec mojej szpady bez mojej wiedzy w oko przeciwnika, który padając na wznak oddał ciało

ziemi, a duszę... Bóg to jeden wie, komu.

Gdy uprzytomniłem sobie mój czyn, obleciał mnie strach. Jedynym ratunkiem była ucieczka. Chciałem uciekać, lecz nie wiedziałem dokąd. Odgłosy kroków nadchodzących ludzi uskrzydliły mi stopy. Nierównym krokiem zbiegłem w dół ulicy, szukając schronienia, lub przynajmniej możliwości otarcia szpady z krwi, aby nie znalaziono przy mnie śladu popełnionej zbrodni, w wypadku, gdy bym został zatrzymany przez patrol.

Obezwładniony strachem zauważyłem światło w jakimś znacznie szerszym domu. Wpadłem do niego nie wiedząc właściwie po co. Znalazłem się w niewielkiej sali, pięknie przyozdobionej. Przyspieszyłem kroku, wchodząc do drugiej, również ładnie umeblowanej i prowadzony przez światło palące się w następnej stałem w końcu przed bogatym łóżkiem, w którym leżała jakaś dama.

Zmieszana moim wejściem usiadła i spytała kim jestem, czego tu szukam, skąd się tu znalazłem, kto mi pozwolił wejść do jej pokoju, tak obcesowo.

Pani — rzekłem — nie mogę odpowiedzieć od razu na tyle pytań. Chciałbym tylko znać, że jestem cudzoziemcem, że zabiłem na ulicy jakiegoś człowieka nie tyle z własnej woli, co sprowokowany przez pyzalkowatość tego nieszczęśliwca. Zaklinam panią na Boga i wszystko najdroższe, nie wydaj mnie w ręce strażników.

— Jesteście Hiszpanem? — spytała mnie po portugalsku.

— Nie, pani — odpowiedziałem — moja ojczyzna leży daleko stąd.

— Choćbyście byli po tysiąc razy Hiszpanem — rzekła — mimo to ochronię was, jeśli to będzie w mojej mocy. Wsunie się za to łóżko. Pod dywanem nad nim zawieszonym znajduje się wnetka w murze. Skryjcie się w niej. A jeśli strażnicy wejdą nie ruszajcie się, gdyż będą musieli mnie uszanować i uwierzą w to co im zechcę powiedzieć.

Zrobiłem tak, jak mi kazała, odchyliłem dywan i znalazłem wnetkę, w którą się wcisnąłem. Wstrzymując oddech, z duszą na ramieniu, zwróciłem się do Boga z prośbą o ratunek, jak tylko umiałem najzardliwiej.

W pewnej chwili do pokoju wpadł lokaj, krzyząc:

— Nasz pan, don Duarte zabity! Nieśa go przebitego szpadą. Zabójca uciekł, nikt nie zna szczegółów walki. Jakiś chłopiec twierdzi, że widział przed chwilą człowieka, który uciekając wpadł do naszego domu.

— To na pewno on zabił — powiedział dama — nie umknie stąd. Hez to razy bałem się tej chwili.

gdy przyniosą mi syna nieżywego. O, ja nieszczęśliwa! Czyż mogłam się jednak spodziewać czegoś lepszego po jego aroganckich manierach? Niczego, tylko nieszczęścia!

Czterech ludzi wniosło na rękach zabitego i położyło go na ziemi, przed zrozpaczoną matką. Zostawszy samą, drżącym z bólu głosem mówiła do siebie: „Zemsty, zemsty pragnę, ale nie mogę, nie mogę jej zadośćuczynić. Muszę dotrzymać danego słowa. O Jezu, Jezu najmiłościwszy! Wyobraźcie panowie jak się czułem, słysząc te słowa wyrwane z serca matki. Musiało być dla niej jasnym, że to ja zabiłem jej syna, nie więc nie byłoby dziwnego, jeśli by chciała zemścić się na mnie. Cóż mi innego pozostawało jak tylko milczeć i czekać, nie mając prawa do nadziei?

Strażnicy, którzy wkrótce weszli do pokoju zwrócili się do niej bardzo uprzejmie:

— Prowadzeni głosem chłopca, który twierdzi, że zabójca pani syna wszedł do tego domu, odważyliśmy się przestąpić próg tej komnaty. Nadstawiliśmy uszu, oczekując w napięciu odpowiedzi nieszczęśliwej matki. Była ona nacechowana wielką szlachetnością i głębokim miłością chrześcijańską.

— Jeśli ten człowiek wszedł do tego domu napewno nie ma go w tym pokoju. Możecie go szukać w pozostałych, ale nie życzę wam, byście go znaleźli, bo pomśczenie śmierci śmiertelnie nie pomoże, zwłaszcza jeśli krzywda została wyrządzona bez złej woli.

Strażnicy rozpoczęli poszukiwania w całym domu, a ja odetchnąłem z ulgą. Pani domu kazała wynieść ciało syna do drugiego pokoju i przygotować wszystko do pogrzebu, który się odbędzie, skoro tylko grobowiec będzie gotowy. Przykazała również, by zostawiono ją samą i nie wpuszczano nikogo z kondolencjami, nawet przyjaciół i znajomych.

Następnie wezwwała jedną z pokojówek, której, jak wywnioskowałem, najbardziej ufała, powiedziała jej coś na ucho, przykazując głośno, by zamknęła za sobą drzwi. Gdy to się stało siadła na łóżku i kładąc dłoń na dywanie musiała wyczuć przez niego, jak gwałtownie bije moje serce, świadcząc tym o mojej obawie, gdyż powiedziała cichym i słabym z bólu głosem:

— Człowiecze, kimkolwiek jesteś, widzisz, że pozbawiłeś mnie chęci do życia, pociechy moich oczu. Lecz ponieważ wiem, że nie było w tym twojej winy, chcę, aby moje słowo honoru zwyciężyło pragnienie zemsty. Aby spełniła się obietnica uwolnienia cie, dana przeze mnie, gdyś wszedł do tego pokoju, musisz uczy-

nić co ci teraz powiem: zasłoń twarz dłońmi, abym cię nie poznała, jeśli bym przypadkiem otworzyła oczy, i wyjdź z swojej kryjówki. Pójdiesz za pokojówką, która za chwilę tu przyjdzie. Wyprowadzi cię na ulicę i da ci sto eskudów, które zapewnią ci życie na jakiś czas. Nikt cie tu nie zna, nie przeciwko tobie nie świadczy, zachowaj więc tylko spokój, gdyż zbytne zmieszanie zazwyczaj wydaje winowajcę.

Wróciła pokojówka, a ja wyszedłem z dywanu z twarzą zakrytą dłońmi, a na znak wdzięczności, klęcząc, ucałowałem wielokrotnie nogę łóżka.

Prowadzony przez pokojówkę, furtką ukrytą w ogrodzie wyszedłem na ulicę. Znalazłszy się na niej, pierwszą rzeczą, którą uczyniłem, było oczyszczenie szpady. Następnie wolnym krokiem doszedłem do jednej z głównych ulic, która zaprowadziła mnie do mojej gospody.

Zachowałem się tak, jak gdyby nic mi się nie przydarzyło. Karczmarz opowiedział mi o nieszczęściu, jakie przydarzyło się owej nocy. Tak wyolbrzymił pozycję społeczną i znaczenie zabitego, że można było sądzić, iż zamordowany on został z zasadzki przez jakiegoś zawistnego wroga.

Całą resztę nocy dziękowałem Bogu za wyświadczoną mi łaskę, podziwiając zarazem męstwo w miłości chrześcijańskiej oraz szlachetność postępowania doni Guiomar de Sosa, tak bowiem nazywała się ta, która okazała się moim dobroczyńcą.

Rano poszedłem nad rzekę i zauważyłem na niej łódź pełną ludzi. Mie li oni wsiąść na okręt, udający się do portu Sangian w Indiach Wschodnich. Wróciłem do gospody, sprzedałem swego wierzchowca i ścisnąc cały swój majątek w garści wróciłem do rzeki i do łodzi.

Następnego dnia znajdowałem się już na wielkim okręcie, na pełnym morzu. Wiatr dał w żagle, prowadząc okręt po wyznaczonej drodze.

Piętnaście lat bawiłem w Indiach, służąc w wojsku walecznych Portugalczyków. Zdarzały mi się tam rzeczy, z których można by ułożyć ciekawą, a zarazem prawdziwą historię. Dużo miejsca zajęłoby w niej opis bohaterstwa czynów narodu portugalskiego, które zasłużyły na wieczną sławę.

Uzbierałem tam nieco złota i perel, jako też rzeczy bardziej wartościowe, niż pokazywane pod względem biżuterii. Razem ze swym dowódcą wróciłem do Lizbony, z zamiarem powrotu do ojczyzny. Po drodze chciałem jednak zwiedzić największe i najważniejsze miasta Hiszpanii, a mianowicie na pieniądze część swych bogactw, aby móc pokryć koszty podróży.

Udałem się najpierw do Madrytu, dokąd właśnie przenosił się dwór wielkiego Filipa III. Los zmęczony posuwaniem pomyślnym wiatrem okrę tu mojego szczęścia po morzu życia ludzkiego chciał, że wpadł on w końcu na mieliznę i rozbił się zupełnie.

Gdy przybyłem pewnej nocy do Talavery, pobliskiej miejscowości, zatrzymałem się w gospodzie, która okazała się dla mnie nie gospodą, ale grobem, w którym pogrzebałem swój honor.

O, potężne miłości siły! Lecz miłości nieroztropnej, poronionej, rozwiązłej, złej! Z jaką łatwością przewracacie dobre zamiary, czyste pomysły, rozsądne plany!

Jak więc już rzekłem, gdy zatrzymałem się w tej karczmie weszła do niej między innymi szesnastoletnia dziewczeczka, przynajmniej tak mi się wydawała. Potem okazało się jednak, że miała już 22 wiosny. Ubrana była skromnie, lecz bardzo czysto, a gdy przeszła koło mnie, wydawała mi się, że pachniała jak łąka kwiatów majowych pełna. Zapach jej zostawił w mych zmysłach aromaty Arabii.

Podszedł do niej jakiś chłopiec, szepcząc jej coś do ucha. W odpowiedzi roześmiała się donośnie i pokładując mu plecy wyszła z gospody, kierując się do jednego z domów naprzeciwko.

Chłopiec karczemy pobiegł za nią, a nie mogąc schwycić, uderzył pięścią w piacy, tak, że przewróciła się w progu jak długa. Zabrała to inna dziewczyna z tej samej gospody i powiedziała do chłopaka:

— Na Boga Alonso, co wyprawiasz? Luiza nie zasługuje przecież na to, bys ją częstował szturchańcem.

— Dopóki będę żył, nie pozostanie ich kobiecie — odparł Alonso — a ty, Martino, nie wtrącaj się, bo jakie dziewczyny jak ona muszą znać twardą rękę. Ba, nie tylko rękę, ale i nogę.

Gdy odszedł, zapytałem Marto o Luizę, kim jest, czy już zamężna?

— Panna — odrzekła Martino — lecz wkrótce zostanie żoną tego to Alonsa, na podstawie umowy między ich rodzicami. Na te samej podstawie Alonso ma śmiałość liczyć jej od czasu do czasu kości. Luiza zazwyczaj zasługuje na takie traktowanie, gdyż, prawdę mówiąc jest z niekiedy czasem pódiabłą. Nie raz zwracałam jej na to uwagę, ale niewiele pomaga. Jak się jej coś zachce to robi, choćby miała na głowie stonę. Szczerozłote jest nasze przysłowie, że wstyd i skromność to największy posąg panny. Moja matka nie pozwalała mi wyglądać na ulicę nawet przez dziurkę od klucza, a co dopiero wystawać godzinami w bramie!

— Powiedz mi Martino — przerwa

*) Urywek mało znanej powieści Cervantesa „Trubojos da Persiles i Zygmunta” w tłumaczeniu p. E. Martuszewskiego omówiony został szczegółowo w poprzednim nr. 46 „Dziś i Jutro”.

lem jej — jak mogło do tego dojść?

— Wiele by można na ten temat powiedzieć — odparła — i ja mogłabym dorzucić niejedną szczegół, gdyby na to czas pozwolił i ból, który noszę w sercu.

ROZDZIAŁ VII

Uważnie słuchali wędrowcy słów Polalka, a Perianbro zwrócił się do niego z taką zachętą:

— Opowiedzcie nam panie, co tylko uważacie za stosowne i możliwe najdokładniej, gdyż to podnosi wartość opowiadania. Nie zaszkodzi jeśli na bankiecie obok doskonale upieczzonego bażanta znajdzie się świeża zielona i smaczna sałatka. Sosem opowiadań jest bogactwo stylu, bez względu na to, co się opowiada. A więc słuchamy dalszego ciągu historii o Alonso, Martinie i Luizie.

— Postaram się nie stracić zainteresowania waszmościów w dalszej części swego opowiadania — odparł na to Polak — Nie byłbym mężczyzną, gdybym nie raz i nie dwa owej nocy o niej nie pomyślał, o jej wdzięku, piękności i temperamentcie, nigdzie, jak sądziłem, niespotykanych. Układałem różne plany, budowałem zamki na lodzie, ożeniłem się i miałem dzieci w swych marzeniach. Keniec końców zrezygnowałem z pierwotnego planu podróży i postanowiłem zostać w Talaverze, ożeniłem się z ową Afrodytą, do której porównałem przynajmniej poprzedniego dnia dziewczynę, aczkolwiek została poszczepiona przez chłopaka.

Miała w końcu noc. Zmierzyłem puls moich pożądań i okazało się, że jeśli nie ożenię się z nią w najbliższym okresie czasu, razem z apetytem stracę wkrótce życie, które i tak żyłem już na przechowanie w oczach mojej wieśniaczki.

Fokonawszy masę trudności udało mi się rozmawiać z jej ojcem. Swoje oświadczenie o jej rękę zakończyłem pokazaniem swych pereł, pieniędzy, wyczeniem zalet swego umysłu i umiejętności, które nie tylko wszystkie skarby zachowają, ale je nawet powiększą. Wszystkie te racje tak go zmiękczyły, że zgodził się oddać mi rękę swej córki, zwłaszcza, że nie zależało mi na jej posagu, który był dosyć mizerny. Wystarczyła mi jej piękność w zupełności.

Alonso musiał mi ustąpić miejsca, Luiza została moją żoną, chociaż bez wielkiej ochoty, a — jak się okazało po dwu tygodniach — z wielką dla mnie boleścią, a wstydem dla niej. „Zabezpieczywszy” z pomocą Alonso moje klejnoty i złoto, zniknęła z Talavery, okrywając mnie hańbą i wstydem, a siebie wydając na języki współwzrostu, które długo plotkowały o jej rozszarpaniu i nieśląstwie.

Zniewaga domagała się zemsty, lecz nie miałem jej na kim wziąć, chyba na sobie samym. Nieraz myślałem o samobójstwie, lecz los, aby dać mi załuszczenie za wszystkie ohełgi sprawił, że moi wrogowie dostali się do więzienia w Madrycie. Zawiadomiono mnie, że mogę tam do chodzić sprawiedliwości, skarżąc ich do sądu. Udaję się tam gotowy zmazać ich krwią plamy na moim honorze. Jedynie ich śmierć może zdjąć z moich barków ciężar ich kładactwa, który mnie przygniata.

Jak Bóg na niebie — muszą umrzeć! Jak Bóg na niebie — muszą się zemścić! Jak Bóg na niebie — niech cały świat wie, że nie puszczam płazem zniewag, zwłaszcza takich, które przenikają do szpiku kości. Jączę do Madrytu, czuję się już lepiej, pomóżcie mi tylko dosiąść konia. Do moich uszu nie dotrą ani prośby braciśzków zakonnych, ani błagania osób pobożnych, ani obietnice przychylnych serc, ani dary bogaczy, ani dekrety władz, nie, absolutnie nie, gdyż mój honor musi płynąć na ich zbrodni jak oliwa po wodzie.

Mówiąc to, starał się wsiąść na konia i ruszyć w dalszą drogę. Widząc o Perianbro ujął go za ramię i zatrzymał mówiąc:

— **Zdój was załepia. Zauważcie,**

że takim postępowaniem jedynie powiększycie i pogłębicie waszą hańbę. Obecnie jesteście zhańbieni jedynie w oczach tych, którzy was znają w Talaverze, a więc w oczach niewielu. Teraz chcecie waszą hańbę roznieść po Madrycie.

Największą roztropnością jest, jeśli człowiek nie szuka tego, czego nie może znaleźć. Uciekającemu wrogowi należy budować złote mosty, a wśród wrogów największym ponocem jest własna żona. Możliwe, że to ostatnie zdanie jest słuszne w innych religiach, gdyż u chrześcijan małżeństwo jest sakramentem a nie umową, taką, jak wynajem domu. Rzucając je tylko śmierć. Pewne sprawy, gorsze od samej śmierci, mogą usprawiedliwić rozdzielenie małżonków,

ale nie mogą zerwać węzła małżeńskiego.

Jak myślicie, co się stanie, jeśli władze wydały wam winowajców, związanych i bezbronnych, na oczach tłumy ciekawskich? Czy zaczniecie wtedy ostrzyć nóż o pieńkę katowski groźąc im podcięciem gardła, jak gdyby, mówiąc waszymi słowy, krew ich mogła oczyścić wasz honor? Czy wszystko to nie powiększy jedynie waszej hańby? Zemsta karze wstępki, ale ich nie potrafi zgładzić.

Nie uganiajcie się więc, panie, za sprawiedliwością. Nie radzę wam przez to, byście przebaczyli swojej żonie i pozwolili jej wrócić do waszego domu. Radzę wam inaczej, abyście ją porzucili, gdyż będzie to dla niej największa kara. Życie daleko

od niej, gdyż wtedy jedynie będziecie żyć naprawdę. Współzycie z taką kobietą zamieni się dla was w powołną śmierć.

A poza tym zauważcie, panie, że zabijając ich popełnicie śmiertelny grzech, którego nie należy popełniać choćby za wszystkie skarby honoru tego świata.

Gwałtowny Polak uważnie słuchał tych słów Perianbro, a patrząc mu w oczy rzekł:

— Słowa wasze, panie, nie pasują do waszego młodego wieku. Muszę podziwiać dojrzałość waszego rozsądku. Obecnie pragnę jedynie powrócić do ojczyzny, dziękując niebu za łaskę mi wyświadczoną.

Pomóżcie mi wstać z upadku. Jeśli gniew dodał mi siłę, niech nie str-

zę ich przez roztopną cierpliwość.

— Chętnie wam pomożemy — odpowiedział Antonio, podpierając go, gdy wsiadał na konia.

Uściskawszy wszystkich, cudzoziemiec powiedział im na pożegnanie, że chce wrócić do Talavery, by zabrać to, co mu jeszcze zostało, a następnie przez Lizbonę, wrócić morzem do swej ojczyzny. Powiedział im też swoje nazwisko: Ortel Banderre, czyli po hiszpańsku Marcin Peredre.

Gdy po ostatnich pożegnaniach zawrócił w stronę Talavery wszyscy długo jeszcze pozostawali pod wrażeniem jego przynędy i wdzięku z jakim je opowiadał.

tłumaczył Edward Martuszewski.

Tydzień kulturalny

REZOLUCJA ZAWODOWYCH ZWIĄZKÓW ARTYSTYCZNYCH

1. Naród polski od pierwszych dni okupacji hitlerowskiej zajął wobec Niemców właściwą postawę niezłomnej walki z wyniszczającym terrorem wroga na wszystkich odcinkach życia.

2. Szczególnie zjawiska kulturalno-artystyczne traktowali Niemcy jako dogodny narzędzie dla deprawacji. Ograniczali więc planowo i systematycznie i obniżali charakter i gatunek zainteresowań artystycznych i zniekształcali charakter i sens produkcji artystycznych.

3. W związku z taką polityką okupanta hitlerowskiego świadome grupy inteligencji, a przede wszystkim zainteresowane Związki Artystyczne ustosunkowały się wyraźnie negatywnie do wszelkich prób udziału ludzi sztuki w namiastce życia kulturalnego w t. zw. Gen. Guberni.

4. Niestety, nie wszyscy zajęli tę jedynie właściwą postawę, byli natomiast tacy, którzy z mniejszą lub większą świadomością poszli na rękę okupantom.

5. Związki Artystyczne w swym dążeniu do oczyszczenia atmosfery moralnej w odrodzonej Polsce podjęły prace zbadania postawy i zachowania się swych członków w okresie okupacji i wymierzenia winnym odpowiadającej ich winie kary.

6. Przeprowadzenie tej niezmiernie trudnej i subtelnej akcji wymaga dłuższego czasu, wobec tego akcja ta nie jest jeszcze zakończona. Jednakże należy stwierdzić, że wszystkie Związki Artystyczne z równą energią i konsekwencją zadanie to podejmują. Wszystkie Związki Artystyczne uznają przyspieszenie i ujednolicenie metod tej akcji za niezbędną i pilną konieczność.

7. Stwierdzamy równocześnie, że charakter i stopień przewinień jest bardzo różnorodny i stąd Komisje

Weryfikacyjne, rozpatrując każdą ze spraw w jej indywidualnym kształcie, wymierzają proporcjonalne stopnie kar, z których najcięższe jest wykluczenie na zawsze z organizacji.

8. Aczkolwiek czas wiele rzeczy lagodzi i wymogi życia skłaniają do

przebaczenia drobniejszych przewinień, to jednak związki oświadczają, że nie pozwolą na zafalszowanie rzeczywistości i odwrócenia pojęć. Akcja weryfikacyjna we wszystkich Związkach musi być doprowadzona do końca mimo, iż niektórzy usiłują zbaga-

Koncert muzyki rosyjskiej

dorzucimy, iż z dotychczasowym dorobkiem łączą się bardzo optymistyczne nadzieje na przyszłość — to będzie to chyba wszystko co się da zrobić, by i Redaktora zadowolnić i miejsca na łamach pisma zbyt duże nie zająć.

Ten skrót nie wystarczy, rzecz jasna, Czytelnikowi. Ale to już nie moja sprawa.

5-ty koncert symfoniczny poświęcony był, z racji 30-tej rocznicy rewolucji październikowej, muzyce rosyjskiej.

Usłyszeliśmy Mussorgskiego — Wstęp do opery „Chowańszczyzna“, Rachmaninowa — koncert fortepianowy c-moll, Liadowa — „Kikimorę“, Prokofjewa — Symfonię klasyczną i Borodina — Tańce Połowieckie.

Orkiestra pod sprawną batutą Mieczysława Mierzejewskiego spełniła swoje zadanie niemal bez zarzutu. Program koncertu, jak widać z powyższego zestawienia zawierał pozycje, które w historii muzyki rosyjskiej znajdują się w dużych od siebie odstępach. Kiedy Borodin pisał operę „Kniaź Igor“, której fragmentem są Tańce Połowieckie, Sergiusza Prokofjewa nie było jeszcze na świecie. Takie przeglądy (czy przesłuchy) nie są łatwe ani dla orkiestry, ani dla słuchacza. To, co dla Borodina było kanonem, symfonia

telizować przewinienia okupacyjne, a nawet rozgrzeszyć winnych.

9. Jednocześnie Związki Artystyczne kategorycznie stwierdzają, że karani niezależnie od wagi przewiniecia — nawet po odciążeniu kary nie powinni zajmować w życiu społecznym i organizacyjnym czołowych stanowisk, ani też głośnym i natarczywym zachowaniem wysuwać się na czoło życia artystycznego.

klasyków wiedeńskich, dla Prokofjewa stanowi kanwę dla jego własnej, śmiałej a na wskroś nowoczesnej myśli muzycznej. Orkiestra inteligentną interpretacją nie pozwoliła nam nie dostrzec odrębności różnych koncepcji i różnych technik kompozytorskich. Brzmienie poszczególnych grup instrumentów dawało w całości pełną harmonię zarówno w sensie czystości tonu, jak siły dźwięku.

Jedynie koncert fortepianowy Rachmaninowa potraktowany był zbyt sucho, ozięble, wbrew rysującemu się w każdej frazie temperamentowi kompozytora.

Największe zastrzeżenie adresuję do solisty koncertu Karola Kleina. Osiągnięcie poprawności technicznej wystarczy na dorocznym popisie Szkoły Muzycznej — od solisty koncertów Filharmonii stołecznej wymaga się znacznie więcej, wymaga się odczucia intencji i psychiki kompozytora, wymaga się, by praca odtwórcza łączyła się z twórczą pomostem zrozumienia. Rachmaninow nie tworzył muzyki akademickiej, nie ma w nim nic niedosięgalnego, z każdego utworu przebija prosta, szczerza i mocna dusza artysty-człowieka, bez nawiązania bliższego kontaktu z myślą zamkniętą wśród znaków muzycznych utworów zawisa w próżnię. Tak właśnie stało się w piątek.

c-h.

Wędrowki po scenach polskich

TEATR NOWY

Beaumarchais — Wesele Figara.

W ferworze tworzenia nowej rzeczywistości pragniemy często dopasować do niej... przeszłość.

Na tej drodze myślenia czarujący Beaumarchais stał się pod piórem naszych recenzentów rewolucjonistą. Tylko patrzeć, jak zaczniemy w nim czcić ideowego twórcę naszej reformy rolnej i nacjonalizacji przemysłu.

Niech tam sobie ludziska wypisują na ten temat wszystko, co im się spodobać raczy. Nic to nie zaszkodzi uskrzydłonemu polotem myśli poecie.

Dla mnie osobiście Beaumarchais był, jest i będzie już pozostanie przede wszystkim poetą, rzucającym iskry swego natchnienia nie na jakieś beczki z prochem niesprawiedliwości społecznej, a na wrażliwe dla wdzięku prawdziwej poezji serca wszystkich pokoleń.

I może przez te właśnie dyspozycje psychiczne do oceny każdego wzniesienia sztuk Beaumarchais nie wy-

daje mi się, by premiera w Teatrze Nowym spełniła swe zadanie.

„Wesele Figara” wybrano niemal całkowicie z poezji. Jakżeż to przykre zestawienie tej opinii z nazwiskiem Juliana Tuwima. Niestety, tak jednak jest naprawdę.

Nad Teatrem Nowym zaciężyła nie bogata przeszłość poetyczna autora „Siódmej jesieni”, lecz tradycja prac kabaretowych współpracownika „Morskiego Oka”.

„Wesele Figara” upstrzone wstawkami, wykonywanymi przez chór rewersów, czy przez zespół girls, do złudzenia przypominało rewie, a w żadnym wypadku nie dawało złudzenia swojej klasyczności.

Niezdrowa lekkość w potraktowaniu spektaklu uzewnętrzniała się najjaskrawiej w stosunku aktorów do tekstu. Samowolne, a nieuzasadnione skróty, obok tego wygodnicze wstawki, dorzucane co chwila, zmuszają mnie do tego, co powoływanie się w programie na przykład Boy'a uważam za pewnego rodzaju nadużycie.

A szkoda. Straciliśmy okazję do przeżycia wielu miłych wzruszeń.

Jeśli chodzi o ocenę wykonawców spektaklu, to na pierwszym miejscu postawić należy Irenę Górską (Zuzannę). Ona jedna dała kreację świeżą, stylową i pełną wdzięku.

Doblesław Damiński (Figaro) grał raczej rutyną, niż przejęciem się rolą. To się robi dziś u nas nagminnie. Ledwie na palcach można by wyliczyć współcześnie nowe, duże kreacje naszych najlepszych aktorów. „Gwiazdorzy” nie wysilają się zbytnio. Wszytko, co oglądamy, to albo rutyniarstwo albo przedwojenne pieczenie, dziś nieco odgrzane. Damiński razil przede wszystkim nadmiarem zbyt konwencjonalnej i bardzo powtarzanej gestykulacji. Bogucki (hr. Almaviva) i Godlewska (jego żona) byli bardzo poprawni z podobnymi zaletami i podobnymi wadami, wśród których na pierwszym miejscu postawić należy pewną nieporadność, zwłaszcza w scenach o żywym tempie. U obojga zawodzi zupełnie mika.

Helena Zahorska (Marcelina) z trudnej i niewdzięcznej roli wybrnę-

ła z godnym pochwały umiarem. Jan Mroziński (Bartolo) nie wyszedł poza zwykły swój szablon. Aktor ten ma szczęście, że ten właśnie szablon bardzo się Warszawie podoba.

Cherubin Klemensa Mielczarka był stanowczo przesłodzony, czasem naprawdę aż do młodości. Pięknie, że po raz pierwszy w Polsce obsadzono tę rolę mężczyzną, szkoda, że mężczyzną tylko z metryki, takie przy najmniej odnosiło się wrażenie, pa, trząc na jego bardzo dziewczęce i dziewczęce płasiki. Tadeusz Fijewski (Gaska) czasem zbyt groteskowy, ale na ogół dobry. Reszta wykonawców poprawna. O chórach i baletach niech piszą specjaliści od rewii.

Godnymi uwagi były bardzo udane, pomysłowe i przyjemne dekoracje Stanisława Daczyńskiego.

„Wesele Figara” będzie miało powodzenie. Szkoda, że uzyskane sposobikami tanimi. Nie wątpię, że ten sam sukces przyniosłaby realizacja, nacechowana większym szacunkiem dla autora, chociaż był on tylko symem zegarmistrza.

Mieczysław Markowski

Walenty Majdański

A JEDNAK POWTARZAM...

W Moskwie od r. 1946 wydaje Akademia Nauk Pedagogicznych miesięcznik „Rodzina i Szkoła”, narażenie w 50.000 nakładu.

CZY TYLKO HOMEOPATIA JEST... KATOLICKA?

Atakowany jestem coraz namiętniej. Ta część naszego narodu, która chce wymrzeć (nawet system dwojga dzieci zmniejsza po 70-ciu latach zaludnienie niżej niż do połowy), nie znosi tego, co piszę. Pewni panowie i panie chcą koniecznie umierać na bezdzietno, bo ubrali sobie, że dopiero to jest „kultura”, a tu ktoś ich budzi i nazywa po imieniu. Nic więc dziwnego, że dzieciobójcy i wykolejeńcy ciskają i szczują co tepszych pisarków, a ci dorabiają mi epitety: grafoman, maniak, najgłupszy autor w Polsce, prymitywista, on ciągle pisze w kółko. „ten idiota chce króliczej rozrodczości”. Oburzenie wymierającej z braku dzieci hołoty „postępowej” rozlega się donośniej. A tymczasem obok, na Wschodzie, jak pisze „L'Osservatore Romano” z dnia 29 — 30 września, Związek Radziecki kroczy jak lawina od 170-tu milionów przedwojennego zaludnienia do 251 milionów na rok 1970-y. My inaczej: pod węglą odbudowującej się Polski kładziemy setki tysięcy zabijanych co roku dzieci nienarodzonych, „żeby jakoś wyżyć” — jak mawia typowy powojenny u nas tata — niedojda. Żaden też z tegorocznych ogólnopolskich zjazdów lekarzy nie zajął się problemem rzezi nienarodzonych i wynikającego z tych „operacji” kalectwa milionów Polek. Państwowa Rada Zdrowia ślepa pozostała nadal na te dwa koszarne dla zdrowotni narodu zjawiska, a co się dzieje w tej dziedzinie w szpitalach, można wnosić z „Głosu Wielkopolskiego” z dnia 12.VIII.1947 roku, który referuje, że w Uniwersyteckiej Klinice Położniczej w Poznaniu (Klinika P.W.Z.S.) w okresie od 1.IV. do 31.XII.1946 roku zanotowano „1834 porodów, 1189 poronień, 567 zabiegów koniecznego przerwania ciąży i 356 innych schorzeń ciążowych”. Co te liczby znaczą, spostrzeżemy, gdy studiując fachowe piśmiennictwo medyczne, dowiemy się, że wypadki, gdy jedynie przerwaniem ciąży można uratować życie matce, albo zdaniem jednych powag wcale nie istnieją (F. Frank) lub prawie nie istnieją („W Służbie Zdrowia” z września 1946), i że w Uniwersyteckiej Klinice Położniczej w Warszawie bywa w latach powojennych 1 — 2 wypadki przerwania ciąży w roku.

Jakże więc mam nadal nie bronić sprawy nienarodzonych, zwłaszcza, że „Caritas” uczynił taką akcję obowiązkiem dla każdego katolika na rok miłosierdzia 1947/48? Ale gdy dzieciobójcy nie męczą się i mordują dzieci w najlepsze, spostrzegam, że redakcja „Dziś i Jutro”, męczy się już tym, co na ten temat piszę. W ciągu 2 lat wszystkiego 7 artykułów napisałem do „Dziś i Jutro”, ale już po 3-ch redakcja tłumaczyła się wstydliwie, że mnie... drukuje (z dnia 16.III.1947). Rzadko który mój artykuł ukazuje się w „Dziś i Jutro”.

Za granicą istnieje olbrzymia literatura demograficzna, specjalna prasa dla spraw rodziny, specjalne instytucje do badań problematyki rodzinnej u nas kto na te tematy napisze kilka artykułów, już ma „bzi-ka”, „kręćka” i jest „maniakiem”. Wytrwałość, to w Polsce mania. My niedługo będziemy co roku zmieniali zawód, nie będą wyglądać na maniaków. Genialny jako inicjatywa i arcykatolicki artykuł Budzanow-

skiej (w „Dziś i Jutro” z dnia 1.XII.1946) o prawniczej stronie zagadnienia nienarodzonych — nie został, o ile wiem, powtórzony przez żaden inteligentki tygodnik katolicki. Ignorancja, jak okiem sięgnąć! I na odwrót: dwa kolejne potem artykuły dyskusyjne w „Dziś i Jutro” z dnia 1—6.I.1947, godzące się w tych wypadkach, gdy ciąża zagraża życiu matki, na zabijanie dzieci nienarodzonych, nie zostały następnie, o ile mi wiadomo, sprostowane przez redakcję „Dziś i Jutro” choćby uwaga, że były to głosy arcykatolickie, mojej zaś odpowiedzi na owe głosy nie wydrukowano. Wyjaśnienie również powinno było dać „Słowo Powszechne” po artykule tamże Kamińskiego (z dnia 10.IV.1947). Nie dało. Ignorancja.

Nadal szukamy zbawienia na wszystkich kontynentach świata i we wszelkiego rodzaju „izmach”, nie widząc go w zdrowej moralnie Polsce i w zdrowej rodzinie polskiej. A tymczasem centralne problemy narodu i Kościoła, to dziś obyczaj i rodzina. Artykuł Jasienicy „De profundis” dlatego wywarł wszędzie tak wielkie wrażenie, że dotyczył obyczajów; wart on był więcej, niż cały „Tygodnik Powszechny”. Ale kto wysnuł z tego wnioski? Przegraliśmy sprawy socjalne. Czy chcemy przegrać rodzinę i obyczaje? W Polsce nie ma pisma katolickiego ze znajomością tajemnicy wychowywania narodu i jego najważniejszych potrzeb oraz z dostatecznie potężnym walcem do urabiania psychiki polskiej.

W dodatku prasa katolicka chce wszystko leczyć... ziółkami, zwłaszcza miętą i bobkowym liściem. A przecież w medycynie istnieje l., chirurgia. Żaden z dwu czołowych tygodników inteligentek oficjalnie katolickich nie zamieszcza recenzji z tych książek. Przypuszczam, że ci poczciwcy gorszą się moim językiem, że wprost nie wiedzą, co z tym „fantem” zrobić. Ach, żeby pisał o rodzinie, tudzież o wynaturzeniach, oraz dzieciobójcach karmelkowym językiem katolickim, w miarę żałosnie, w miarę uroczyście, wszystko byłoby w porządku! Ależ przecie istnieją „poprawnym” językiem pisane katolickie książki o rodzinie, lecz ilu ludzi porwał do katolickiego życia rodzinnego? I tymże słodkim językiem mamy napisane książki o wynaturzeniach i dzieciobójcach, lecz czy komu obrzydziły neomaltuzjanizm?! Szerzy się on jak płomień.

Diabła nie wypędzi się ziółkami. Musimy używać całej medycyny w leczeniu narodu, nie tylko podtatualnej homeopatii i babciowej lawendy. Właśnie próbuję nie być ziółkarzem, dlatego jestem „prymitywistą” i „ordynarnym”: tak jak ordynarnym jest chirurg, gdy składa ziamnane gnaty, lub gdy dąga igłę z penicyliną w żywe ciało. Chory wtedy wrzeszczy, ale zdrowieje. Katolcy natomiast coraz przysięglej używają „kulturalnego” języka, arbiter elegancji powojennego piśmiennictwa katolickiego, Kisielowski, poucza ex cathedra, jaką być winna moralność w sztuce katolickiej, a obyczaje i naród zamieniają się w gnój. Coś więc nie jest w porządku z tą „kulturą” i z tym „poziomem”. Ale co?

Zagadnienie specjalne. By jednak nie być „maniakiem”, nie zatrzymam się przy tej specjalności i przejdę do czego innego.

PAN NIK ROSTWOROWSKI CHYBA MNIE NIE CZYTA.

„Osobiście zarzucam Majdańskiemu i jego prorokowi Jakimiakowi

wąskotorowość tematyki, polegającej na walkowaniu w tę i we w tę problemu króliczej dzietności...” „Nie wątpiwy prymitywizm, zatracający częstokroć o ordynarność, naraził tego...” Itd. (Nik Rostworowski, „Dziś i Jutro” z dnia 27.X.1947).

Otóż, Drogi Panie! Jakimiak nie „walkuje” problemu króliczej dzietności”, ponieważ pisał o tym tylko 2 razy: raz gdy musiał, dając recenzję o mych książkach; drugi raz, gdy musiał odpowiedzieć na napaść z powodu tej recenzji. Czy te dwa razy to już dla Pana za dużo? Co za wytrzymałość Pan reprezentuje: Pan, który w tymże, zresztą cennym, artykule propaguje bohaterstwo?

Cały II tom mej książki poświęcam wizji świata z „rozumną liczbą dzieci”: cóż więc to ma wspólnego z „króliczą” rozrodczością? W moich obu książkach, w 162 krótkich rozdziałach, rozpatruję problematykę rodziny na mnóstwie aspektów. Wobec tego zapytuję Pana, czy to jest „wąskotorowość”? Tam Panu za dużo, tu za mało: czy to nie grymasy? W rozdziale „O prometeizm myśli polskiej” (tom I), twierdząc, że nie ma „katolickiego punktu widzenia”, którego to zwrotu Pan używa. Ale czy Pan czyta Majdańskiego? Może zna go Pan tylko z opinii, którą mu doczepiają, i z artykułków w „Dziś i Jutro”? Jeśli tak, to Pan o mnie nie wie. Mnie w czołówkach katolickich prawie nie drukują. Nie mam się gdzie wypowiadać.

Dziękuję również za komplement, że jestem ordynarny i prymitywista. Ratuje mnie to od pychy bo oto dostatecznie na przykład listy: „Znam prace Leona Bloy. Pańskie prace...” Itd. Lub: „Jest Pan polskim Bloy...” Itp. Co Pan na to? Proszę czytać Majdańskiego i Bloy, a potem mi odpisać.

I, Drogi Panie, „króliczą dzietnością” teraz, w epoce świadomego dawania życia, mogą wykazać się tylko najdzielniejsze narody świata. Obecnie największą życiową sztuką jest mieć wiele dzieci i utrzymać je, a gdzież nam do tego?! Nigdy — przed rozbiorem — Polska nie umiała się dorobić licznej, a nawet dostatecznej liczby ludności. Proszę o tym przeczytać w moim I tomie. A dziś? Jest taka studentka i taki student: zabijają każde swe dziecko nienarodzone, tłumacząc, że inaczej nie mogliby studiować. Ci dziwni rodzice płacą więc... śmiercią swych dzieci za swe studia. Szczyt niedołęstwa! Oto nasza elita, magistrzy, doktoranci! Niedojdy i zbrodniarze do kwadratu! A proszę zapytać medyków, co specjalizują się w ginekologii — położnictwie, po co ów dział wybrałi Jakże można od narodu niedołęgów wymagać wielu dzieci?! Nawet Pana mierzi już samo „walkowanie” przeze mnie tego tematu.

Przyzna Pan, że z potwornie niepopularną sprawą wybrałem się do Polski. My, Drogi Panie, mamy króliczą liczbę dzieci, ale... zabijanych w łonach matek. Tak jak dawniej nieważyliśmy króliczą liczbę dzieci mrących przedwcześnie masowo z niedołęstwa rodziców. Przecież dlatego nie dorobiliśmy się nigdy wielkiej ludności. Ja rzeczywiście „walkuję”, ale króliczą liczbę... zabijanych dzieci. Tu miałby Pan rację czyniąc mi zarzut. Właściwie o „króliczą” liczbę dzieci u nas nie ma co walczyć: ona jest. Tylko 3/4 tej liczby ubijamy przed urodzeniem. Najwięcej w Polsce dzieci mają ci co najbardziej mi złożeczą: pozornie mają jedno, a naprawdę mają całe tuziny—tylko zabitych. To są „królicze” małżeństwa, „królicze” matki i ojcowie króliczy”: ci z jednym dzieckiem. Ja „walkuję” o to,

by zdemaskować tę zgrają pozornie małodziętną. Wprawdzie nieestetycznie tak „walkować”, lecz czy estetycznie zabijać? Co Pan zrobił, by mniej zabijano dzieci w Polsce, skoro natrzęsa się Pan z mego „walkowania”? O tyle zmniejsz me w tym względzie „walkowanie”, o ile Pan zwiększy swą walkę o życie nienarodzonych. Czy zgoda? I to jest — zarazem — moja odpowiedź nie tylko dla Pana, lecz dla wszystkich Panu podobnych estetów.

Dzieciobójcy się nie męczą. Za to męczymy się my, pięknoduchy katolickie, kollaboracjonujący masowo z szatanem wygodnictwa dla świętego spokoju. I dla estetyki.

Jeżeli katolicy mieliby rozum, to zamiast dworować z Jakimiaka, jak Pan to czyni, osadziliby go w redakcji pisma „Rodzina”. Gdyby ode mnie zależał papier, nie dałbym go katolikom, dopóki by nie powstało katolickie pismo „Rodzina”, bo dopiero z takiego pisma katolickiego rząd miałby więcej korzyści dla Państwa niż z całej prasy katolickiej. Oczywiście, pod warunkiem, że pismo prowadziłyby ktoś na poziomie europejskim.

Kpiny z Jakimiaka jako mego „proroka” nie są ścisłe. Przed wojną ktoś wypowiedział się następująco: „Stwierdzam, że za moich młodych lat młodzi tak nie pisali, takim językiem nie wolno było przemawiać do „oświeconych” akademików... więc widocznie coś się zmieniło, coś rąbie w panton liberalizmu, jakaś Brama Niebieska, czy Wieża z Kości Słoniowej zaczyna się wyłaniać z oparów empirio-krytycznych dociekań, coś rozsada epurwetki pełne straconej wiedzy bez wiary, coś wchodzi „drzwiami zamkniętymi” i przemocą staje pośrodku nas... Kto wie? Kto wie, czy ten Majdański nie ma lepszego wzroku, lepszego słuchu, twardszej kości pacierzowej, niż my, i czy jego (zdaniem starych wodzów) „ośła szczeka” nie okaże się najbardziej nowożytną bronią. Qui vivra, verba”. Pisał to 10 lat temu Karol Hubert Rostworowski. Jeśli Pan chce proroka, to on był prorokiem.

Pan Andrzej Józef Kamiński napisał w „Słowie Powszechnym” z dnia 10.IV.1947 świetny artykuł „Dach nad dzieckiem”. Niestety, moja odpowiedź (artykuł „Architektura narodowa”) na ów artykuł nie ukazała się. I, niestety, Pański, Szanowny Panie, artykuł szpecą takie oto zdania:

„Stwierdza się na ogół, że młodzi są zbyt wygodni, aby mieć dzieci; że ta niechęć do wydawania na świat potomstwa waży się między samolubstwem a morderstwem, jak niektóre z tych wypowiedzi określają sztuczne poronienia”. Moje podkreślenie. N wierszy dalej pisze Pan: „Kiedy mamy do czynienia z przypadkiem sztucznego poronienia, „zbrodniarza” i „mordercę”. Jak to określają niektórzy z naszych publicystów, nie trudno palcem pokazać: matka, lekarz, czasem ojciec”. Nieco dalej, mówiąc o strasznych warunkach mieszkaniowych, powiada Pan: „Czy tutaj — trochę subtelniej, rođenje dziecka po to, aby umarło, nie zalatuje trochę morderstwem? Skoro przecież używamy już tego słowa tak swobodnie...”

Rozumiem gorycz Pana jako ojca (sądzę, że Pan jest ojcem), tym bardziej, że ja urodziłem się i wychowałem wśród trzynaściora rodzeństwa jako syn stróża, w najopłakanych warunkach materialnych i mieszkaniowych. Moje wszystkie małe dzieci w ciągu 7-iu lat spotkało to samo. Ale z Pańskiego artykułu nie widzę, by Pan traktował dziecko

nienarodzone jako osobę. Nie dorósł Pan do tego. Nie jest Pan jeszcze pod tym względem katolikiem. Bo, Drogi Panie, nie tylko „niektórzy publicyści” nazywają sztuczne poronienie zabójstwem. Ono jest istotnie zabójstwem z prawa natury. Kościół zaś „nie pozwala w żadnym absolutnie wypadku na podjęcie sztucznego poronienia i traktuje je jako zabójstwo” (Podoleński ks. T. J.: „O życie nienarodzonych”, strona 76). Proszę przestudiować Codex Juris Canonici, can. 2350 § 1 i „Katechizm małżeństwa chrześcijańskiego (Vermeersch). Tamże na 57 stronie mówi się, że artykuł 747 prawa kościelnego „nakazując chrzest każdego płodu, choćby nie wiedzieć jak małego, przepisuje, żeby każdy płód traktować jako osobę ludzką”.

Osobę ludzką... Wyjaśnia to Kościół, a potwierdza dziś biologia. Za zabijanie dzieci nienarodzonych Kościół okłada klątwą. Codex Juris Canonici. Proszę się uczyć moralności katolickiej. O poziom chodzi.

W „Dziś i Jutro” z dnia 3.VIII, w liście do Jakimiaka, brnie Pan dalej mówiąc: „Zamiast importować z Rosji ustawy przeciw poronieniom (które, jak wykazała praktyka, nigdy nigdzie nie skutkowały), lepiej by Pan sprowadził stamtąd znakomity rosyjski zwyczaj łaźni w każdej wsi”.

A więc łaźnię stawia Pan wyżej od... osoby dziecka nienarodzonego. „Cywilizację mydła” ceni Pan wyżej od „cywilizacji człowieka”. Czy Pan nie czytał przypadkiem przed wojną artykułu o „water cywilizacji”? Czy gestapowcy nie myli się więcej od naszych chłopów, i jak się bali wszy wie Pan o tym dobrze, będąc specjalistą od spraw niemieckich. Ale jaki był ich stosunek do bezbronno człowieka? Otóż w swym stosunku do bezbronno dziecka nienarodzonego jest postawa Pana podobna do biernej postawy „dobrego” Niemca wobec gestapowca mordującego ludzi bezbronnych. I to stanowi Pana tragedię, którą Panu niniejszym uświadomiam. I to stanowi też tragedię naszego narodu, który walczył bohatercko z niemieczyzną i oczyszczając, uszlachetniając swą postawę wobec słabego człowieka, żyda, czy chrześcijanina — już urodzonego, nie stara się oczyścić i uszlachetnić swej postawy wobec człowieka jeszcze nieurodzonego. Bo miarą kultury jest postawa wobec słabego człowieka, a któż jest słabszy i bardziej niewinny od dziecka nienarodzonego?! W tym świetle proszę przyrzeć się sobie, poziomowi Pańskiej postawy wobec słabego człowieka oraz poziomowi Pańskiej kultury, a potem przejść się do Rosji, Szwecji, Belgii, Francji i zobaczyć, jak te narody likwidują coraz skuteczniej poronienia właśnie za pomocą ustaw, które, Drogi Panie, zawsze skutkują, jeśli się je wykonuje. Ustaw takich, co główna, żąda Kościół: „Jeśli zatem władze państwowe owych maleństw nie tylko nie bronią, lecz ustawodawstwem swoim i zarządzeniami na te zabiegi się godzą i maleństwa owe w ten sposób wydają w ręce lekarzy i innych osób na śmierć pewną, niech pamiętają o tym, że Bóg jest sędzią i mścicielem krwi niewinnej wołającej z ziemi do nieba” — mówi Pius XI w „Encyklice o małżeństwie chrześcijańskim”.

Zapytuję przy tej okazji Sejmowy Klub Katolicko-Społeczny, co zrobił, by usunąć dzieciobójczy sanacyjny artykuł 233 z Kodeksu Karnego? Ja, z kolei, Drogi Panie Kamiński, radziłbym Panu, sprowadzać stale z Rosji organ ustaw Najwyższej Rady ZSSR: „Wiedomości Wierchow-

nogo Sowietu” i podkreślać czerwonym ołówkiem w każdym numerze te miejsca, gdzie przewodniczący Najwyższego Sowietu mianuje matkami - bohaterkami nie te kobiety radzieckie, które najczęściej do łaźni chodzą, ale te, co urodziły i wychowały dziesięciorko i więcej dzieci. Tu dzieć radziłbym sprowadzać z Moskwy organ Akademii Nauk Pedagogicznych „Siemja i Szkoła” (Rodzina i Szkoła).

W post scriptum listu do Jakimiaka pisze Pan: „Mam odrobinę nadziei, że nie zrozumie Pan tego listu w tym sensie, że popieram sztuczne poronienia”. Suche to oświadczenie jakże odbiega od namiętnych partyj listu! Wiele to mówi, jednak, Drogi Panie, nikt by Pana nie posądzał o popieranie mordów dzieci! Natomiast zarzucam Panu inną potworność: że z nazbyt lekkim sercem, i w „Słowie” i w „Dziś i Jutro”, mówi Pan o mordach nienarodzonych, że nie walczy Pan z tym zjawiskiem w obu wypowiedziach; że wykazuje Pan w tej sprawie ignorancję, jako inteligent i jako katolik: Pan, publicysta organu kardynała Sapiehy. Mam nadzieję, że starczy Panu odwagi i że w „Słowie” i „Dziś i Jutro” zabierze Pan głos, by naprawić zgorzosenie; tak jak żywię nadzieję, że redakcje „Słowa” i „Dziś i Jutro” zabrają z powodu Pana wypowiedzi głos, tudzież z powodu wypowiedzi w „Dziś i Jutro” innych osób w numerze z dnia 16 stycznia 1947 roku, by naprawić zgorzosenie. Nie sprawi to chyba Panu trudności, skoro sam Pan klaruje Jakimiakowi, że „gdy się ktoś odważa pewne rzeczy drukować, trzeba mieć poczucie odpowiedzialności”.

Dotknę już tylko mimochodem ignorancji Pańskiej w sprawie nowoczesnego, innego niż dotychczas, kształcenia i wychowania kobiety, które powinno być równe jakością wychowaniu i wykształceniu mężczyzny, ale zarazem winno być wykształceniem i wychowaniem kobiecy, nie męskim. Nie mogę się doszukać w Pana liście śladu znajomości dyskusyj, jakie toczy świat dzisiejszy na ten temat. Nie słyszał też Pan, jak widać, co na ten temat mówią zjazdy kobiet katolickich. Entuzjazmuje się Pan naiwnie równością wykształcenia kobiety i mężczyzny. To byłoby mądre u Kamińskiego w peruce z XVIII wieku, lub w bokobrodach sprzed stu lat. „Nie docenia się na ogół wagi, jaką przedstawia dla kobiety funkcja rozrodcza. Funkcja ta jest nieodzowna dla jej pełnego rozkwitu. Toteż absurdem jest odwołanie kobiety od macierzyństwa, które się wpaja chłopcom. „Między obu płciami istnieją różnice nieodwołalne. Konieczne trzeba się z tym liczyć w budowaniu świata cywilizowanego” (Carrel, strona 76). A więc: Carrel z Panem, czy z Jakimiakiem?

STAJĘ PRZED PARLAMENTEM KATOLICKIM.

Myślę, że wałną przyczyną potknięcia się p. Kamińskiego jest... słowo. Słowo „poronienie”. Gdyby pan Kamiński stale słyszał nie „poronienie”, „zabieg”, „przerwanie ciąży”, „operacja”, ale **zabicie dziecka**, na pewno nie byłoby wojny między panami Kamińskim i Jakimiakiem. Gdyby to samo stale słyszały miliony Polek, nie popełniałyby już dla samego połowy mordów. Nawet Tyrmann wykazuje w „Dziś i Jutro” z dnia 27.X. — histeryczną śmiałość dzisiejszej Polki do rozpusty, to i źródła tego zjawiska trzeba szukać także w aspekcie nienarodzonych. Otoczenie bowiem nie nazywa tego zbrodnią i z tym nie walczy. Co najwyżej zachowuje wobec tego zjawiska postawę pana Kamińskiego. Jak mi mówiono, uczennice pewnego pobożnego miasta wprost ze szkoły

idą „na zabieg”, bo w ich mieście osoby pobożne zachowują postawę pana Kamińskiego.

Cóż wobec tego robić?! Bo mówi się, że my katolicy w Polsce nie nie możemy. Widocznie stawiamy sobie niezyciowy program. Wobec tego przychodzę z takim wnioskiem: zamiast fałszywego wyrazu „poronienie”, „zabieg”, „przerwanie ciąży” — używajmy odąd wszyscy w prasie prawdziwego wyrażenia: **zabicie**

Stanisław Podlewski

ŁĄCZNICZKI STAREGO MIASTA

Jareczkowi i Bogdankowi jak dorosną

W południe 14 sierpnia, w gmachu Ministerstwa Sprawiedliwości, Długa 7, panował ożywiony ruch, przebiegał gońcy, nieustannie znoszono rannych.

W podziemi, przy łóżku ładnej blondynki Wiktorii (Maria Borczyk), łączniczki sztabowej ppłuk. Radośława, jest dzisiaj gwarno i może zbyt tłoczno.

Cóż z tego, że jest ranna? Uśmiech nie schodzi z jej ust i gdyby tutaj wypadło usłyszełibyśmy jej ładny śpiew.

Z sąsiedniej sali przynieśli dowódcę plutonu „Mieczków”, tych najmłodszych żołnierzy powstania. Lekki sarkastyczny uśmiech nie schodzi mu z ust.

Za chwilę przyszedł Bałk (Włodzimierz Pietrzak). — Przy powrocie z Włki miał dziwny wypadek. Przechodził z łączniczką Basią przez fabrykę wód gazowych i lemoniady na Mirskiego. Wokół stały pełne skrzynie butelek.

— Tak mi się chce pić — powiada. Po tych słowach Basia podnosi jedną z butelek lemoniady, nalewa do kubka i podaje mu.

Bałk szybko unosi do ust, wypija duży łyk i nagle gwałtownie wypływa wszystko, kubek rzuca z krzykiem. Basia cieniowała z przerażenia. Kwas solny był w butelce.

Bałk ma usta boleśnie spalone. Dr Przemysław kuruje go, a łączniczka Dalicka, wielka i tęga dziewczyna, przygotowuje mu kaszkę manna, zwykle na pół surowa.

Teraz przyszły dwie rodzone siostry odwiedzić Wiktorię. Zuzanna (Wanda Olechowska), wodząca za nos przez całe dni, szpitalnych posługaczy, węgierskich i greckich żydów z ghetta i Halina (z domu Kopciówna), żona dowódcy oddziału partyzanckiego „Uderzenie”, walczącego gdzieś na Wileńszczyźnie, na zapleczu frontu wschodniego z Niemcami.

Od pierwszych chwil powstania jest łączniczką sztabową ppłuk. Radośława. Wszyscy słuchają z zaciekawieniem jej opowiadań, przeżyć i wrażeń.

— Tak nie lubię przechodzić w nocy przez wymarłe ruiny ghetta i przez pusty plac Krasieńskich. Czuję się jakoś dziwnie samotna. Po prostu lęk mnie ogarnia, przeżywam momenty ogromnego przerażenia. Nie wiem, czy to przewrażliwienie, czy może przecucie, że coś mnie może spotkać.

Zuzanna i Miecz spojrzeli na siebie. Doznali oboje dziwnego uczucia. Oczy Haliny, w ciemnych obwódkach, miały teraz jakiś przedziwny blask, nie z tego świata.

Nagle Halina powiedziała, jakgdyby chciała odpędzić od siebie te przecucie,

— Wierzę, że mnie się nie stanie. Muszę doczekać powrotu Boleśława, muszę wychować nasze dzieci...

Po przygodzie, jaka spotkała Wiktorię, chodziły łączniczki zwykle po dwie. Jak jedna padła — to druga niczła meldunek dalej. Zwykle umawiały się przed wyruszeniem w dro-

dziecka. Po katolicku! W mowie potocznej — podobnie (w ogóle zaczynamy coś robić wszyscy po katolicku)! Już to samo zmniejszy ilość rozpusty i dzieciobójstw o jedną trzecią. Słowo bowiem prawdziwe jest potęgą. Słowo rządzi światem. To będzie udział prasy katolickiej w haśle „Caritasu”. „Dziecko nienarodzone ochroń”. Chociaż tyle!

Tak się przedstawia minimum. A maksimum? Och, to program z te-

gę, gdzie mają ukryć meldunki. Halina zwykle prosiła, aby w razie czego nieszczęśliwego odebrać od niej maleńki woreczek z pamiętkami i oddać mężowi.

Po czym Halina tak jakoś dziwnie serdecznie pożegnała się ze wszystkimi. Po chwili wyszła z Zuzanną.

W głównej bramie dawnego Ministerstwa Sprawiedliwości, stał posterunek z peemem w ręku.

Halina zapytała go.

— Jak tam na dworze?

— Spokojnie. Można przejść.

Pożegnała Zuzannę, zrobiła znak krzyża św., pochylała się i przebiegała przez całą szerokość ulicy Długiej i zniknęła w ruinach.

W kilka chwil później Niemcy rozpoczęli natarcie z ruin ghetta.

Ogień musiał zaskoczyć Halinę.

ŁĄCZNICZKA REGINA

Tego dnia zginęła łączniczka Regina.

Mówiono, że sama szukała śmierci. Kierowniczką pracy konspiracyjnej nie zgodziła się, aby ona brała aktywny udział w powstaniu. Może dlatego, że była już w podeszłym wieku.

Regina zabiegała i wyptakiwała swój przydział do oddziałów bojowych. W końcu znalazła się w zgrupowaniu „Radośław”, na Woli. Chodziła uszczęśliwiona.

Gdy ustąpiła się linia bojowa na Spokojnej i Okopowej, zorganizowała w fabryce Pfeifra punkt sanitarny. Cieszyła się, że nareszcie ma godne zajęcie i pracę.

W czasie walk na Starówce wiele łączniczek padło rannych lub zginęło. Wówczas sanitariuszka Regina, wraz z innymi przechodziła na funkcje łączniczki sztabowej. Teraz nie może narzekać na brak zajęcia i wrażeń.

Tego dnia, wraz z łączniczką Janeczką, wyszła z meldunkiem.

W pewnej chwili dostrzegają pod murem ghetta rannego powstańca, leżącego w kałuży krwi. Regina nie waha się ani chwili, podbiega do rannego. Robi mu opatrunek, gdy zostaje ugodzona odłamkiem pocisku. Janeczka powraca na kwaterę po pomoc dla rannej.

Wybiega z chłopcami, gdy oczom ich ukazuje się Regina, krwawe widmo, wlecze się ostatkiem sił przez otwór w murze ghetta.

Gdy odeszła Janeczka dopadł ją drugi pocisk.

Sanitariuszki i łączniczki dobiegają do niej. Wprowadzają ją na punkt opatrunkowy. Chcą się nią zająć. Daje znaki, aby podał jej ołówek. Nie może mówić. Ma sparaliżowane pół twarzy, wyrwana szczękę i okaleczony język. Piszze na kartce, gdzie ma ukryty meldunek, prosi aby go zaniesli.

Teraz dopiero mogą się nią zająć. Zanoszą ją do szpitala na Długa 7 i tam w męczarniach umiera.

Nie zdolano nawet zapamiętać, gdzie ją pochowano.

W kilka dni później łączniczka Janeczka znalazła również śmierć pod gruzami *).

*) Autor tego wspomnienia prosi PT Czytelników o podanie nazwisk i szczegółów tych dwóch dzielnych łączniczek.

matami bez miary! Dlatego pierwszy punkt tego programu jest następujący: połowę każdego pisma katolickiego poświęcić ogromowi problematyki rodzinnej i obyczajowej. Gdy „Znak”, „Tygodnik Powszechny”, „Warszawski”, itd., zaczną pisać inteligentnie o rodzinie i obyczajach, i poświęcą temu połowę każdego numeru, tudzież wszystkie talenty, pokaże się ostatecznie, które pismo jest katolickie, jak również, któ-

ry pisarz siedzi wygodnie w „izmach”, a który w żywej Polsce.

Rodzina i obyczaje, to konkrety, dla których patriotyzm narodu i apostołstwo Kościoła mogą i muszą się wyżywiać w pełni właśnie teraz więcej niż kiedykolwiek. Możliwości tu widzę olbrzymie. I wtedy zdumieni spostrzeżemy, że my katolicy w Polsce możemy wszystko. Już dziś!

Walenty Majdański.

ŁĄCZNICZKA HALINA

Bodaj dwa dni temu Halina spotkała Ojca Pawła, kapelana zgrupowania „Radośław”. Zapytał ją o dzieci.

— Ja wiem, że ojciec mi nie wybaczysz — mówiła. Stała wysoka, emukła, a w jej oczach szklili się łzy. Gięboka troska osiadła na twarzy.

— Zostawiłam dzieci na Różanej — na opiece Helenki — służącej.

Miała dwóch ślicznych chłopczków, półtorarocznego Jareczka i niewiele starszego Bogdanka. Wciąż o nich mówiła i o nich myślała.

— Ojciec, ważniejsza jest służba Ojczyźnie, od obowiązków rodzicielskich. Bohdan w polu od wielu miesięcy ze swoim oddziałem, a ja bym miała pozostać w domu w takich chwilach, gdy waży się losy powstania, uwiązana do rodzinnych obowiązków.

Rozumiał Ojciec Paweł tę matkę-Polkę.

Znał jej życie ostatnich lat najbardziej ofiarne i aktywne, jakie można sobie wyobrazić. Była łączniczką, kolporterką, maszynistką, przenosiła broń, organizowała pomoc dla więźniów, dla rodzin „Uderzeniowców”.

Najbliższe otoczenie robiło wszystko, aby nie brała udziału w powstaniu. Ale ona była konsekwentna. Jej decyzja była logicznym następstwem jej ideowej postawy.

W dzień wybuchu powstania prosiła Wiktorię, aby nauczyła ją służbowego zachowania.

Wiktorija wydawała rozkazy, a ona salutowała, wymawiała sakramentalne słowa: Melduję posłusznie, pamięć pułkownikowi...

Jareczek i Bogdanek trzymali się jej nóg i ze zdziwieniem patrzyli na swoją matkę, co ona wyrabia.

Któregoś dnia Halina znalazła się w piwnicy, przepełnionej ludnością. Czuli walili z ciężkich dział w mury starej kamienicy, głucho sypały się gruzy, drżały mury. Trwożliwe krzyki matek, płacz dzieci przepełniał ciemności. Halina uświadomiła sobie, że przecież w takiej sytuacji mogą znaleźć się jej dzieci, pozabawione matczynej opieki. Ogarnęła ją jedna myśl, jedno pragnienie. Rzucić wszystko nie zwracać na nic uwagi i biec do swoich dzieci.

Niejednokrotnie zapytywała swoje przyjaciółki co robić?

Mogła przecież wykorzystać rozkaz ppłuk. Radośława, wydany jeszcze na Okopowej, a odsyłający większość kobiet, bez przydziału do odwodu. Ale ona pozostała.

Ojciec Paweł nieraz drżał o jej życie, gdy jako sztabowa łączniczka, nie zważając na największy ogień artylerii i miedziarzy biegła z rozkazem do wysuniętych placówek lub zagrożonych odcinków. Bywało nieraz podnosiła z ziemi jeszcze gorące odłamki, bawiła się nimi.

Pamięta tę krwawą walkę jedenaściego sierpnia, w ruinach ghetta. Kpt. Niebora padł ranny w ataku, jednak nie ustępował z pola, wkrótce drugi strzał z działa przeciwlotniczego dosięgnął go w piersi i dobił. Padł ranny ppłk. Radośław. Ogień

szalał. Chłopcy kryli się przerażeni w ruinach. Nie można było się doń zbliżyć.

Halina chwyciła nosze i niewiele sobie robiąc z niebezpieczeństwa, lekko pochylona, biegła wraz z podchorążym Krysiem (Tyszkiewicz) ku rannemu, i uniosła rannego.

Dozwała za ten czyn „Krzyż Walecznych”, po raz pierwszy. Kiedyś marzyła o tym.

— Mjr. Witold powiedział, że wszystkie swoje łączniczki i sanitariuszki odznaczyłby Krzyżem walecznych, prawda Ojciec — jakby to miło było dostać Krzyż walecznych i powrócić do domu...

Ojciec pamiętał, jak była do głębi wstrząśnięta śmiercią Zdzisława, brata jej męża. Sama go namawiała, aby poszedł do powstania.

— Jak ja teraz spojrzę w oczy jej matce?...

A gdy ją uspakajano powiedziała z największym przeświadczeniem.

— Gdybym nawet wiedziała o jego śmierci to bym to samo uczyniła...

Jakże często mawiała do ojca Pawła.

— O jednym nie mogę myśleć że już nigdy mogę nie zobaczyć Bohdana, trzy miesiące nie miałam od niego żadnej wiadomości.

Bodaj 14 sierpnia Ojciec Paweł zapytuje w dowództwie o Halinę.

— Poszła w sobotę wieczorem z rozkazem do Radośława na Krzywe Koło. Już drugi dzień, jak jej nie ma, nie wraca. To jej się nigdy nie zdarzyło. Może gdzieś zatrzymała się. Może poszła kanałami do Śródmieścia czy na Żoliborz. Ale, ktoś by o tym wiedział w dowództwie, komuś by powiedziała.

Dręcący niepokój wkładał się do serca kapłana i nie opuszczał. Ale to niemożliwe, aby tej cudnej kobiecie mogło się coś stać. Przecież ona jest matką dwóch ślicznych chłopczków. Staraj się odpędzić od siebie wszelkie złe przecucia, przypuszczenia i niedobre myśli, które jak czarne kruki wciąż nadlatywały.

Zaniepokojone jej towarzyszkami broni wysłały gońców na zwiaady, na jej odszukanie. Powrócili z niczym. Zniknęła.

ŚWIĘTO WNEBOWSTĄPIENIA NAJSW. MARII PANNY

Dzień wstawał ponury. Czarne, ciężkie dymy wisiały, jak żalobne chorągwie nad ruinami. Stalowe niebo przytłaczało umęczoną ziemię i dusze ludzkie. Ojciec Paweł siedział przy oknie rozwalonym odłamkiem pocisku i odmawiał brewiarz, przy wórze dział i pałbie karabinów. Pociski przelatowały z jękiem w górę, ziemia i ściany drżały.

— Dzisiaj jest święto Wniebowstąpienia Najświętszej Panny Marii — myślał ojciec najczulsze święto kościelne i narodowe. Tyle wszyscy przywiązują do niego nadziei, oczekują wielkiej przemiany odwrócenia się wszystkich nieszczęść, uchronienia od zagłady. Co przyniesie ten dzień?

Naraz doszły go liczne głosy dziew-

(Dokończenie na str. 15).

cząt. Chłopcy od Radosława przynieśli jakąś łączniczkę do „rozpoznania”, zawiniętą w koc.

Nie było mu to dziwne. Te nieustraszone dziewczęta padały tak często. Nie wystarczyłoby mu palców u rąk, gdyby chciał policzyć te, które sam pochował.

Pięć łączniczek padło na jednym odcinku. Nie dotarło z ważnym meldunkiem. Otrzymał rozkaz szosta z kolei.

Wokół ziemia gotuje się, powietrze wibruje, a mury trzęsą się, jak w febrze.

Najspokojniej otwiera swoją torebkę, błyska lusterko, pudruje nos, strzepuje puszek, lekko pociąga karminem śliczne usta...

— Robisz się na bóstwo, będziesz kogoś uwodziła na tej placówce. Próbuja żartować koleżdy i rozproszyć złe przeczucia

— Napewno. Muszę przecież po śmierci ładnie wyglądać — odpowiada z uśmiechem.

Ledwie tylko zdążyła wybieść dopadł ją odłamek i już więcej się nie podniosła. Purpurowy kobierzec krwi wykwił wokół niej, gdy ją podmócili.

Ojciec Paweł nie przerywał swojej modlitwy, choć mu tak szła niesporo. Nie mógł się skupić. Taka modlitwa jest niemila Panu Bogu. Słyszał, jak wybiegły dziewczęta. One się nia zajmą. Naraz wpada łączniczka Skarlett (Andera Tonchu Ru) mała, drobnutka i czarna, a z ust jej wyrzyna się:

— Ojciec Halina... Wiedział już wszystko, więc nie myliły go przeczucia.

Zamknął brewiarz, który mu teraz ciążył, jak ołów. Nogi uginały się pod nim. Poszedł. Leżała w bramie domu Mławska 5. Tak, to ona. Nie zmieniona. Może trochę skurczona, jak gdyby nagle czymś tępym uderzona, choć nie ma żadnych śladów

Jej prześliczne długie, wąskie palce rąk, mogące służyć za niedoścignętych prawór dla rzeźbiarza, wydawały się, jak ledwie rozkwitłe lilie. Złoty, zerwany łańcuszek, bez krzyżyka śnił na szyi. Uświadomił sobie, że przecie niedawno obejmowały ją drobne rączka jej synków...

Wiedział, że nie chciała umierać, ale po rycersku i chrześcijańsku była zawsze przygotowana na śmierć.

Opowiadał mu ci, którzy ją znaleźli w ruinach, na Bonifraterskiej, koło wywróconych wałometek, że w zastrygłej zaciśniętej ręce, miała miniaturkę swojego męża, z którą się nigdy nie rozstawała. Słyszał, że codzień modliła się za Bolesława Chrobrego, Stefana Batorego i hetmana Żółkiewskiego...

Przy każdej mszy św., w czasie „Dominus vobiscum” — kiedy odwracał się do wiernych, widział ją klęczącą wśród rozmodlonej gromady, w mrocznej piwnicy... Pamięta jej śliczne oczy, zasłane łzami, gdy udzielał jej komunii św.

Tak nie rozumiał tej śmierci. Na co Panu Bogu była potrzebna?

Ta młoda kobieta kochała życie, piła z niego wszystkie radości, kochała męża, dzieci...

W tej chwili szła Zuzanna z Krzywego Koła od Radosława. Zanepokojona o Halinę, wypytowała wszystkich o nią. Nagle dojrzała w bramie gromadkę łączniczek, pochylońnych nad kimś. Z boku stała łączniczka Dewajtis, a z oczu płynęły jej łzy. Zapytała ją:

— Czy pani nie widziała Haliny?

Lecz ta tylko wybuchnęła płaczem wtedy dostrzegła Ojca Pawła. Twarz miał białą, jak opłatek. Modlił się nad poległą. I wtedy oczy jej padły... a z piersi wyrwał się szponowaty ryk i przerażający krzyk:

— Halina!

To jej ukochana siostra Dopadła do leżącej, zaczęła ją okładać pocałunkami i najtkliwsiymi nazwami imionami.

Dziewczęta zanosily się od placu. Mała Skarlett nie rozumiała, dla

czego właśnie Halina zginęła, która była tak potrzebna... Nieraz myślała, że każda z nich może zginąć, ale Halina musi pozostać...

Ktoś dał znać, że Ojciec Paweł wyszedł już z uroczystą mszą św. w kaplicy polowej ku czci Wniebowstąpienia Najświętszej Marii Panny.

— Nie płaczcie — mówiono do dziewcząt — bo ludność zrozumie, że nastąpiła tragiczna sytuacja

Po nabożeństwie ojciec Paweł udzielił absencji in articulo mortis, po raz pierwszy wszystkim. Wywarło to głębokie wrażenie.

Kiedy wychodzono z kaplicy była ładna pogoda, słońce zalewało białe ruiny, aż trudno było patrzeć.

Zbito pośpiesznie trumnę z nieheblowanych desek, z niemałym trudem zebranych, skąd się dało. Dla ogółu już ich nie starczyło. Łączniczki Skarlett i Basia, przyjaciółki poległej, biegły pod ostrzałem po opuszczonych mieszkaniach, na piętrach, po rozbitych oknach i balkonach. Szukały kwiatów i zieleni. Znalazły kilka przekwitłych pelargonii i zielonych listków. Obmyły je z pyłu i kurzu. Przybrały nim ciało zmarłej i trumnę.

Basia obciąła pukiel włosów... Ktoś prosił tkliwie:

— Nie zospećcie Jej...

Ojcu Pawłowi przypadło spełnić smutny ostatni obowiązek.

Gęsty letni zmrok zapadł już na umęczoną ziemię. Wszystkie gwiazdy wyszły na granatowe niebo. Mówiono szeptem, bo tuż nieprzyjacielskie stanowiska. Skradano się cicho i przedko z trumną w mroku, po wysokich usypiskach gruzów, to znów przez wyboje, wzdłuż potrzaskanych ścian i murów. W podwórzu fabryki smochodów „Fiat”. Sapieżynska 5, na cementarzyku powstańczym, jakich tutaj wiele, rozrzuconych w staromiejskiej dzielnicy. Zebrali się jej towarzysze broni i pracy: przysłała łączniczka Hela Warzycka, dziewczyna o twarzy dziecka, odważna i ofiarna konspiracyjna działaczka... Jest Balk, wysoki pochyłony blondyn, o twarzą myśliciela i przytłoczony nowym ciosem, pelen posepnych myśli...

Tych dwoje znajdzie się za kilka dni również w krainie cieniów.

Ojciec Paweł z rozwianym włosom stanął nad płytkim dołem. Na esesmańskiej łaciej panterce ma fioletową stułę. Jest jak gdyby przytłoczony do świeżej ziemi, usypującej się z chrzęstem spod jego nog.

Ręce wyciągnięte, splecione w dole, zaciśnięte usta nie wypuszczają słów modlitwy, a oczy utkwione nieruchomo w trumnę.

Ziemia drżała od wybuchów, gdy szeptem odmawiano „Wieczny odpoczynek”.

Powstańcze peemy, Steny, Schmeisery i Błyskawice śpiewały jej żalobne requiem, a kiedy zwłoki spuszczano do ziemi, dół okazał się za mały. Ziemia po stokroć niegodnie nie mogła ich przyjąć...

A potem Basia zatknęła w świeżej ziemi krzyż, na którym wypisała ołówkiem prawdziwe nazwisko i imię poległej. Ujawniła ją światu.

A z niedalekiego Mokotowa, na drugim krańcu stolicy, mały Jareczek i Bogdanek wciąż wyglądali swojej matki, wciąż o nią zapytywali otoczenie, dlaczego ona tak długo nie wraca do nich.

Wśród najdroższych pamiątek po matce, obok jej fotografii, pozostanie jej podwójny Krzyż Walecznych przyznany pośmiertnie i słowa, brzmiące jak postanie, zawarte w jej ostatnim liście do męża, do nich do nas — wszystkich przedziwnym zrządzeniem losów ocalałych.

„Tobie mówię i wszystkim przyjaciółom moim, mężczyznom, kobietom i dzieciom naszym: trzeba żyć, znając hierarchię celów: Bóg — Ojczyzna, Rodzina... a łączą te trzy cele obowiązek pracy nad duszą własną.

Trzeba być bezwzględny wyznawcą religii katolickiej, rozumieć słowa Chrystusowe: Tak — tak, Nie — nie. Zrozumieć, że spojrzaniem i myślą można grzeszyć. Bóg jest cudownie miądry i dobry, zna nas najlepiej.

Wierzmy Mu, poddajmy się Jego woli — ale nie na 99 a na 100 procent i działajmy, zbliżajmy się do Niego. Bądźmy szaleni, wierząc, że mimo błędów naszych, kiedyś nas szalonych, ekrwawionych wysiłkiem do swego serca przytulii... Modlę się, żeby pozwolił strumieniowi krwi naszej spłynąć w potok krwi Jego Przenajświętszej.

ŁĄCZNICZKA HALA WARZYCKA

W kilka dni później... znów jedna z tych niezapomnianych upragnionych sierpniowych nocy dla powstańczej Starówki.

W kwaterze Mławska 5, zegar miarowo wydzwonił trzecią godzinę po północy. Właśnie pułk. Paweł (Rataj), dowódca północnego odcinka frontu staromiejskiej dzielnicy (po pułk Radosławie) — ukończył nareszcie długą odprawę z dowódcami zgrupowań. Miał ciężkie zadanie, jako dowódca, który chce sprawiedliwie podzielić pięć granatów na piętnaście barykad, stojących w ogniu walki. Musiał urządzić losowania, któremu oddziałowi przydzielić pełna, gdy każdy równie go potrzebował.

Wyszedł z pokoju. Ogromne zmęczenie i bezsenność wyżłobiły swoje piętno w oczach i na twarzy. Nerwowo poruszał czarnymi włosami.

— Muszę trochę wycząść i wytchnąć, bo wam się z nóg zwalę — powiedział do swojego szefa i śpiesznie się oddalił.

Teraz pan szef zapowiedział służbowemu łącznikowi, że nikt nie ma prawa przerwać snu pana pułkownika, choćby się samo piekło dobijało.

Do niedawna łączniczka Hala Warzycka (Helena Jamontówna) zwracała uwagę na odpoczynek pułkownika.

Coż to była za dziewczyna! Wzyszy ją tutaj z największą tkliwością wspominała

W okresie konspiracji była duchem opiekuńczym więźniów w kazniach hitlerowskich, brała udział w akcjach bojowych...

W piaty dzień powstania, wraz z oicem Pawłem przybyła ze śródmieścia po amunicję do zgrupowania pułka Radosława na Wolę i tak pozostała, przydzielona do pani Haki, szefa łączności kobiecej. W ważnych sprawach chodziła wiele razy do śródmieścia. Kiedy Niemcy izolowali staromiejską dzielnicę, przebrała się przez linię bojową ruinami. Któregoś dnia znalazła się w grupie mieszkanców stolicy, których Niemcy straszliwie zmasakrowali. Przez kilka godzin, wraz z koleżanką, leżała pod zwalem trupów, aż Niemcy się oddalili, a potem ucichli, a potem wydstętały się i poszły dalej.

Stanisław Kłodziński

Pożegnanie Tatr w Oświęcimiu

(Wspomnienie o s. p. Bronisławie Czechu, mistrzu polskiego narciarstwa, wyjęte z pamiętnika D-ra Stanisława Kłodzińskiego.)

Dr Stanisław Kłodziński, Krakowianin, wywieziony 19 czerwca 1941 do Oświęcimia, zajęty był w obozie zrazu jako robotnik, potem jako pielęgniarz, wreszcie jako lekarz chorób zakaźnych. Dr Kłodziński jako więzień polityczny — otrzymał jeden z pierwszych numerów Nr. 20.019. Następnie wywieziony został 18 stycznia 1945 do obozu w Mauthausen, gdzie przebywał do 2 maja 1945. Tam doczekał dnia wyzwolenia przez armię amerykańską, a już 8 lipca 1945 wrócił do Krakowa. (Przyp. Red.)

„Jeden z pierwszych numerów

W te ciężkie dni sierpniowe nosiła z sobą słońce, radość, pogodę... Każde jej słowo i odezwanie działało jak zastrzyk wiary i nadziei, przeciw ogólnemu otepieniu, zniechęceniu.

— Zobaczycie, będzie dobrze — mówiła, z tym swoim urzekającym i przekonującym uśmiechem.

Któregoś dnia zauważają jej towarzyszyki:

— Zmieniłaś sobie uczesanie. Kiedy masz na to czas?

— A wiecie, że to mnie uratowało — powiada z uśmiechem ślicznych usi i białych jak śnieg zębów. — Mój wałeczek złagodził uderzenie kamieni, miałam tylko duży guz...

Każdego ranka, gdzieś tajemniczo znikala. Niewielu wiedziało, że szła na mszę św., którą odprowadzał ojciec Paweł i że przyjmowała komunie św. Gdy ją kiedyś zapytano dlaczego tak często przystępuje do komunii św., odpowiedziała z dziwną powagą:

— Trzeba być zawsze gotową... Nic nie wiadomo...

Któregoś dnia ojciec Paweł nie zauważył jej wśród klęczącej rozmodlonej gromady, w mrocznej piwnicy.

I później dowiedział się wszystkiego.

Ostatniej nocy miała zanieść ważny meldunek do dowództwa grupy „Północ” w kościele św. Jacka, na Freta.

Gwałtowna strzelanina trwała nieprzerwanie. Odłamki wycyzniały istne harce.

— Dzisiaj istne piekło się rozpętało, nawet w nocy — zauważyła Ala-Lula — niech pani poczeka kilka chwil, może się uciszy...

Słysząc jak odłamki uderzają o ściany domu i harują po podwórzu ulicy.

— No tak! Pani wie, co to służba łączniczki. Widocznie dowódcy na tym zależy, aby meldunek był szybko doręczony, skoro dał mi taki rozkaz. Tam mogą ważyć się losy wielu ludzi — mówiła ze spokojem i powagą.

I wyszła w noc, rozjaśnioną krwawą luną i pożarami, a wraz z nią młody chłopiec.

Jej towarzysze broni nadśledzili w dowództwie. Ogień jak gdyby osłabił, gdy wybiegła, nawet się uciszyło na kilkanaście minut. Wystarczyło, aby przebiec małą przezezeń. Odetchnęli z ulgą.

W niespełna godzinę powraca ów łącznik cały siwy od kurzu, roztrzęsiony, w podartym ubraniu i zeszkolowany, że ledwie rze słowo wymówić.

— Szedłem kr przed panną Helą, przechodził on pod kamienią, stojącą w płomieniach. Naraz straszliwy trzask, coś przydukało mnie do ziemi. Gdy podniosłem się, widziałem już tylko płonące usypisko gruzów, belek i żelastwa, wśród dymu i kurzu.

Następnego dnia, skoro tylko świt, rozpoczęto akcję ratowniczą. Nieposób było wydrzeć jej ciała spod tych gruzów. Nie ciniąły wydać swojego największego skarbu, obsypywały się, stały się jej naturalnym pomnikiem i grobowcem.

DZIEKUJĘ... MAM LIZAKA

W dowództwie dopala się świeca. Powieki ciężą jak ołów. Służbowi walczą ze snem. O czym tu mówić, gdy wszędzie otól śmierć i grzyzy. Za oknami wyją pociski. Po kolej sześć łączniczek, młodych dziewcząt, biegnę w morderczym ogniu z meldunkami. Wszystkie padły. Nie ma dotąd wiadomości z wielu placówek.

Musiły przebiec przez otwartą przestrzeń Bonifraterskiej, około Jana Bożego, po której bez przerwy położone były zapory ogniowe cełkamentów z dworca i wiaduktu gdańskiego.

Naraż w chwilowej ciszy rozlega się przy drzwiach rumor, po czym głośna rozmowa. Słychać energiczny piskliwy dziecięcy głos. Niezbyt wersalska rozmowa z łącznikiem.

— Co mnie obchodzi jakiejś zakazy. Ja muszę zobaczyć się natychmiast z pułk. Pawłem.

Do pokoju wpada zdecydowanym krokiem dziewczyna, Niska, gruba, z dużymi blond loczkami, buzia okrągła, świeża, zaróżowiona. Na piersi przypięta duża latarka elektryczna, jak egzotyczny kwiat. W mgnieniu oka załatwia się z drugim łącznikiem i wchodzi bez meldowania do pokoju pułkownika, mocno śpiącego. Służbowo mu melduje i doręcza jakiś papier.

Po chwili wychodzi. Pułkownik poireci jej poczekać na odpowiedź. Z rozkoszą siada. Wszyscy spoglądają z zaciekawieniem i podziwem na tę osobę, idącą z takim tupetem, przebijem i bezpardonowo.

Nic dziwnego, że jej udało się przenieść meldunek, gdy tyle dziewcząt przed nią padło. Widać wyraźnie, że jest zmęczona i sełna

Ale-Lula (Baranowska) wprawnym okiem pani domu, dostrzega to — podsuwa jej swoją papierosnąc ze słowami:

— Może pani zapali.

— Dziękuję... mam lizaka.

Przy tych słowach zagłębia drobną rękę w przepastnej kieszeni zbyt obszernej esesmańskiej panterki i wyciąga seledynowego dużego cukierka, na patyku, jakiego to młode matki lub nianki kupują gręcznym dzieciom. Co chwila wkłada do ust z największą radością i przyjemnością — rozkoszuje się nim. Widać, że niezbyt dawno musiał być jej ulubionym przysmakiem.

Wiele było prawdy w tym powiedzeniu, że powstanie warszawskie — było nową polską krucjatą dzieci, młodzieży... i matek.

Stanisław Podlewski

sportowca, prawdziwego Polaka, odrzucił wszystko.

Zamknięty w sobie, żył bliżej z kilkoma zakopiańskimi przyjaciółmi. Spotykali się wieczorem, spacerując. Najczęściej o niczym nie mówili, każdy z nich myślał o Tatrach, śniegu, nartach...

On, człowiek gór, przestrzeni, który z wichrem i śnieżyca przelatywał z hali na halę, który jak ptak wylatywał z zakopiańskiej krokwi. — teraz zamknięty, otoczony drutami nizinnego „Auschwitzu”. Nie żalił się nigdy, nie opowiadał o Tatrach. Wychodził, by nie słyszeć, gdy kto mówił o nartach, o śniegu.

W listopadowy ranek r. 1941 gdy było jeszcze wcześniej przed apolem, a ciemności obozu przesywały snopy promieni reflektorów strażni-

cznych, spadł pierwszy śnieg, pokrywając obóz, ulice lagrowe cienką, kilkucentymetrową powłoką. Pierwszy, puszysty, dziewiczy śnieg „Heftlindy” tłoczyli się na korytarzach bloków, szczelnie zapinali bluzki, oczekując na gong apelowy. Nikt nie chciał nosa za wcześniej wystawić, każdy chciał zatrzymać w sobie resztki nocnego ciepła. Na placu apelowym i ulicach było więc całkiem pusto i cicho.

Z bloku wymknął się chyłkiem tylko Bronek Czech. Popatrzył na pierwszy śnieg, oglądając zachmurzone niebo, zwrócił twarz w stronę gór, usiłując przebić wzrokiem mgłę ciemności, walczącej z dniem nocy. Bronek oglądał się naokoło, czy go ktoś nie śledzi i szybkim krokiem przeszedł ku końcowi placu obozowego aż na kraj Birkenalei.

„Post” poprawił się w budce, pogniął szybko reflektorem za nim i zwrócił ku niemu karabin. „Nie, to jednak nie samobójca” zatrzymał się parę metrów przed drutami. Bronek oglądał się szybko i szybko raz jeszcze. Posta na budce zdawał się nie widzieć. Po prostu nie zwracał na niego uwagi. Ukłaki na świeżym śniegu. Nabral go pełne garście. W ten sposób Bronek Czech przywitał się z zimą, pozdrawiając pierwszy śnieg. Z jego jasnych dobrych oczu spłynęły dwie duże per-

liste łzy. Uspokojony, że nikt go nie widział, szybkim krokiem wrócił na blok. Był spokojny i poważny... Nie słyszał nic, co do niego mówiono. Wtem odezwał się gong na apel. Głośny krzyk „eintreten”, ruch, zgłęb, hałas, przekleństwa. Bronek zmieszany się z tłumem i zniknął mi z oczu. Misterium powitania zimy zostało zakończone...

Bronek nie tylko był mistrzem narciarskim. Przede wszystkim był górą, który swe przywiązanie do Tatr, do swych stron rodzinnych potrafił nie tylko wypowiadać słowami, lecz przede wszystkim sztuką, rzeźbą ludową, rysunkiem i malarstwem na szkle. Więziarskie muzeum oświęcimskie szczyciło się szeregiem jego cennych prac. Piękny mi dla oka były jego kasetki z szarotkami, typy góralskie, kapliczki podkarpackie, ludowe postacie świętych. Pierwotnie swe prace artystyczne wykonywał pokrywom w piwnicach bloków, a z czasem stając się coraz bardziej znanym artystą, — udało mu się dostać do muzeum, gdzie miał swe „komando” pracy. W twórczości jego widać było chęć wypowiedzenia tęsknoty do swych stron rodzinnych. Gdy w czerwcu 1944 r. były już w obozie unormowane stosunki, gdy życie stawało się coraz to więcej znosne, Bronck

Czech — ten zawsze zdrowy góral — zgłasza się do mnie na rewir. Skarży się na ból serca, duszność i lekką, lecz stałą gorączkę. W ostatnich dwóch miesiącach za jakiegoś drobne przewinienie zmieniono mu „komando”. Kazano mu obsługiwać esmanów w t. zw. „Blockführerstube”. Praca jego polegała na noszeniu wody, jedzenia esmanom i sprzątanii cel. Zajęcia, jakkolwiek na warunki obozowe lekkie, męczyło go bardzo. Mimo to, mając żelazny organizm — pracował tam z gorączką cały miesiąc, nie chcąc załamać się, postanawiając za wszelką cenę przezwyciężyć chorobę. Gruntowne przebadanie Bronka wykazało kolosalnie przerosłe serce, rozszerzenie aorty, a lewa komora sięgała daleko poza linię pachową. Słuchając tego serca, stwierdzić można było wszelkie możliwe patologiczne szmery nad zastawkami i nad całą lewą połową klatki piersiowej. Coraz to silniej występująca sinica, ujawniająca się na wargach i paznogiach, wskazywała na posuwającą się sprawę chorobową. Po długich badaniach wszystkich chyba lekarzy rewiru obozowego ustalono fatalną diagnozę: endocarditis lenta. Diagnoza, o której nie powiedzieliśmy Bronkowi, była dla niego wyrokiem śmierci. Zapalenie wśierdza, śmiertelne prawie w 100% na wolności,

musiało w szybszym czasie w obozie skończyć się śmiercią.

Ratowano Bronka według zasad wiedzy lekarskiej (nie była jeszcze znana penicilina), ale słabł z dnia na dzień, choć dla niego były wszystkie leki, choć odzywał się możliwie i koledzy przynosili mu wszystko. Bronek leżał cichy, skromny, zawstydzony dobrocią i życzliwością kolegów. Mówił bardzo niewiele, czytał często zawsze przy sobie trzymane listy z domu, cieszył się paczkami, jak dziecko.

W piękne niedzielne popołudnie wrześniowe — „heftlindy” wypoczywali. Naprzeciw okien 3 sali 20 bloku — było rojno i gwarno. Cyganki, zamieszkujące wówczas na męskim obozie blok 9 i 10 wyszły także, — opalać się na słońcu. Tylko kilka rzędów drutów dzieliło je od bloków rewiru. „Heftlindy” — przychodzili na rewir, by z placu oglądać te cuda w spódnicach. Flirtowali, rzucali żywność, a zlagodzona i rozluźniona dyscyplina pozwoliła esmanom patrzeć na te wyryki przez palce.

W owe piękne popołudnie niedzielne leżał Bronek Czech dziwnie zmęczony, spoglądając i smutnie uśmiechając się do słońca, czy do cyganek ze swego piętrowego łóżka. Męska orkiestra obozowa odegrałszy

esmanom służbowe „kawałki” — po-deszła teraz pod rewir. Tłumy więźniów z obozu wychyliło swe głowy z okien rewiru i słuchając koncertu patrzyło na opalone cyganki, które w swych wolnościowych, barwnych strojach zapomniały o lagrze i szczyrzyły swe białe zęby do chłopców w pasiakach. Przy dźwiękach „Carmen”, zwycięskiej pieśni hiszpańskich wolnych górali Bronek zaczął rzeźić. Jęki konania, szeroko otwarte jeszcze oczy, prężące się muskularne ciało, oświetlone promieniami wrześniowego słońca — wskazywały na nieublagany koniec. Nie pomogły natychmiastowe zastrzyki. Trzy, cztery minuty konania. Dusza Bronka uleciała w dal, razem z dźwiękami dumnej, triumfującej „Carmen”.

Cyganki i „heftlindy” bili głośno brawa koncertującym, oklaski padały z okien i od cyganek. Orkiestra zabisowała „Carmen” potężnie i wspaniale nie wiedząc, że dźwiękami tymi żegnała Bronka Czecha.

Gdy się rozeszła tragiczna wieść o Bronku, przyszło kilku kolegów pożegnać go i pomodlić się za swego kochanego druha.

Bronka zastąpiliśmy kocem, chcąc choć symbolicznie oddzielić martwe ciało od tłumu więźniów, dla których Bronek był tylko skreślonym z ewidencji żyjących w Auschwitzu — numerem”. St. Kłodziński

Szanowna Redakcjo!

Stefan Kisielewski

LIST JUBILEUSZOWY

Do Redakcji „DZIŚ I JUTRO”

Często pytają mnie z oburzeniem różni ludzie, dlaczego pisuję w Waszym piśmie. Ludzie z lewicy mówią: jak pan może pisywać u tych faszystów, nacjonalistów, pańkarzy? Ludzie z prawicy zaś mówią: jak pan może pisywać u tych komunistów, czerwonych dywersantów, szkodników?!

Odpowiedź na oba pytania zawiera się właśnie w fakcie, że możliwa jest taka rozbieżność zdań dotyczących jednego i tego samego pisma. Jeśli jakaś grupa wywołuje u obu walczących stron oceny negatywne diametralnie sobie przeciwne i w dodatku bardzo namiętne, wniosek z tego prosty: grupa ta nie mieści się w ustalonych szufladkowych sądach i szablonowych przegródkach grupa ta wnosi coś nowego, ciekawego, odkrywczego, coś tak dalece kontrastującego ze starymi skostnieniami mózgowymi u stron obu, że — drażni wszystkich. Jeśli zaś tak jest to — choćbym się z wielu poglądami i sposobami działania tej grupy nie zgadzał (a tak jest) — musi ona jednak przyciągnąć moją uwagę, moje zainteresowanie, wywołać uznanie: na tle beznadziejnej szarzyzny i jałowyżny naszego uporządkowanego życia politycznego „inicjatywa prywatna”, działająca w dodatku w formach nawskroś legalnych jest zjawiskiem tak wyjątkowym, rzadkim, bez precedensu, że lekkim ślonością było by wyrzekać się jej dla jakichś tam różnic. Sam fakt istnienia tej grupy, choćby poza tym robiła ona głupstwa, jest już rzeczą cenną. Wyznam bowiem zasadę, że nie co twórcze i żywe nie powinno nam być obce. Zasada ta wynika zresztą z istoty mojej postawy światopoglądowej, którą określiłbym jednym słowem: liberalizm.

W którymś z ostatnich numerów „Dziś i Jutra” pan Wojciech Kętrzyński dał wyraz pogładowi, że liberalizm jest takim samym wrogiem katolicyzmu jak marksizm. Pan Wojciech Kętrzyński nie jest jeszcze papieżem (co nie przesądza sprawy na przyszłość), nie jest nawet te-

logiem, to też poglądy jego uznać należy za czysto subiektywne i nie obowiązujące ogółu katolików.

Osobiście sądzę, że liberalizm jest ze wszystkich idei, jakie stworzyła ludzkość, najbliższy duchowi chrześcijaństwa, bowiem założenia swoje biera na wiarę w człowieka, w jego godność i rozsądek, w jego przyrodzone dobre skłonności, w jego wolną wolę. Liberalizm daje jednostce możliwość wyboru różnych rozwiązań życiowych — czyż nie jest to najbardziej sprzyjające chrześcijańskiej koncepcji życia na ziemi „sko indywidualnego dążenia do oczyszczenia, do doskonałości moralnej, do Boga?”

Oczywiście istnieje tu jeszcze sprawa gospodarczego odpowiednika ideologii liberalistycznej: jest nim kapitalizm. Pan Kętrzyński twierdzi, że kapitalizm potępiony został w encyklikach papieskich. To niezupełnie prawda — w ogóle zaś w gospodarce liberalistycznej możliwe są różne formy rozwiązania sprawy kapitału — przy tym potępienie zawarte w encyklikach jest bardzo ogólne i dotyczy się głównie moralnej strony zagadnienia — nie ustrojowej. Jeśli chodzi o sprawę katolickiego ustroju społecznego, to zasady jego wyluszczone w encyklikach mają oczywiście charakter raczej zaleceń niż dogmatów — Kościół nie wiąże się ściśle z żadną określoną ideologią społeczno-polityczną — w tym jego mądrość, w tym oznaka jego nadprzyrodzonego charakteru. Kościół trwa ponad walkami politycznymi i przemianami społecznymi — jeśli wyraża jakąś sympatię dla tego lub owego ruchu, to nie czyni tego w sposób wiążący dla ogółu katolików: katolicy mają prawo brać udział w różnych ruchach politycznych i społecznych, pod warunkiem jedynie, że zasady tych ideologii nie kolidują z zasadami wiary (jak to ma miejsce

w przypadku materializmu). Osobiście treść społeczną naszej epoki widzę w walce gospodarki państwowej z liberalizmem i nie dostrzegam praktycznych możliwości, aby w walce tej mógł wziąć udział jakiś trzeci partner. Katolickie koncepcje społeczne, wysuwane przez niektóre grupy katolików, nie były dotąd stosowane w praktyce, nie są wypróbowane: wydaje mi się, że do ostrej eliminacyjnej walki, jaka toczy się obecnie na świecie, dopuszczeni będą tylko ci partnerzy, którzy mocno są ugruntowani w konkrety. A więc raczej Chrześcijańska Partia Liberalna niż Katolicka Partia Przebudowy Społecznej.

Niektórzy twierdzą, że liberalizm doprowadza w rezultacie do kapitalistycznego totalizmu — a więc do tyranii, z którą przecież w założeniu swym walczy. Nie wydaje mi się to słuszne — oczywiście jednak trzeba się tu kierować zasadą „mniejszego zła” (patrz artykuł Żagarysty w „Odrodzeniu” Nr. 44 p. t. „Zabawy i Spory”). Jeśli mi udowodnicie, że w ustroju rządzącym się gospodarczym liberalizmem człowiekowi pracy powodzi się znacznie gorzej niż w jakimkolwiek innym ustroju — wtedy rzeczycieście zachwiejecie moje stanowisko. Inaczej nie.

Pozwolę sobie wreszcie zauważyć, że nawet w Waszym zespole posiadają zacząonych zwolenników, którzy już zgóry zgłosili akces do wszelkich moich poczynań, mających na celu przewyciężenie nonsensownej tezy, iż liberalizm się przeżył i nie da się utrzymać. Zwolennicy ci to Kazimierz Koźniewski i Leopold Tyrmand, z którymi we właściwym czasie założymy Polską Partię Liberalną (P.P.L.).

A teraz wróćmy do dwuletniego jubileuszu „Dziś i Jutra”. Powiedziałem, że jestem zwolennikiem, ba — w niektórych dziedzinach entuzjastą

Waszego pisma, choć wiele rzeczy mi się w nim nie podoba. Wymienię te rzeczy hurtem, aby uwolnić się od „złej krwi”. Są to: brak bezstronności literackiej, uwidaczniającej się w rubryce „Tydzień Kulturalny” (nomen omen!), szkodząca istotnemu katolicyzmowi świętoszkowatość, widoczna np. w sprawie Tadeusza Borowskiego (przy okazji pozwolę sobie zapytać, czy Zofia Kossak-Szczuczka została już za życia kanonizowana i czy atakowanie jej jest grzechem?), dopuszczenie mało w istocie katolickiej kampanii Walentego Majdańskiego, nawołującego do rodzenia dzieci, aby więcej było mięsa armatniego (toż to istny materializm), wreszcie szerzenie w odcinku beletrystycznym kultu powieści kryminalnej. Jeśli chodzi o sprawy ogólne, wymieniłbym brak programu społecznego (wbrew temu co twierdzi pan Wojciech Kętrzyński) oraz częste niekonsekwencje moralno-ideologiczne, wynikiem, mam wrażenie, z niedoceniań wagi konfliktu między taktyką polityczną a etyką.

No — ulżyło mi — teraz za to chcę Wam wyrazić wiele gorącego uznania. A więc za to, że choć wyrośliście z tradycji walki zbrojnej, walki, w której w latach 1939 — 44 poległa większa część Waszej grupy, potrafiliście przewyciężyć zastarzałe polskie nałogi temperamentu i uczucia, potrafiliście i potrafić rewidować wciąż polski sposób myślenia politycznego, starając się uzyskać nowy styl, nową metodę działania, metodę, która byłaby skuteczna w dzisiejszej trudnej i moralnie powikłanej sytuacji Narodu. Synteza tradycji z nowoczesnością — oto piękne założenie — nie zawsze w Polsce popularne. Nie przestraszając się braku uznania czy popularności, nie popadając w kompleks niższości z powodu braku poparcia ze strony autorytetów narodowych, w trudnej i zawziętej sytuacji wyruszyliście samotnie, tro-

chę jak Don Kichot, aby po dwóch latach stworzyć niewątpliwie ważki ośrodek rewizjonistycznej, patriotycznej myśli polskiej. Za to Was cenię i chwaleb, choć w wielu rzeczach z Waszym postępowaniem i publicystyką się nie zgadzam. Chwałę Was jeszcze za jedno, co zbliża mnie „liberała” do Was — byłych „totalistów”: za szerokość spojrzenia, która pozwala Wam drukować wiele rzeczy, choćbyście się z nimi nie zgadzali, jeśli tylko są one żywe, szczere i do wspólnej sprawy mogą wniesić coś nowego i twórczego. Atmosfera bezkompromisowo szczerej dyskusji — oto dziedzina, gdzie spotkamy się na pewno — rzecz to w dzisiejszych zakłamanych czasach cenniejsza niż się może wydawać. Licząc właśnie na tę naszą niepisana „liberalistyczną” konwencję pozwoliłem sobie posłać do Was ten impertynencki nieco i megalomański, ale szczery list — możecie mnie zjechać jak psa, ale wiem, że list umieście. „To lubię — rzekłem — to lubię”. A więc jeszcze raz przesyłam jubileuszowe życzenia.

Kisiel

P.S. Niezmiennie dobrej korekty, wysokich honorariów i lepszej powieści w trzecim roku działalności życząc również. Kis.

NOWOŚĆ! NOWOŚĆ!

KS. EUGENIUSZ DĄBROWSKI

**DZIEJE PAWŁA
z TARSU**

Obszerna (652 str.) monografia o świętym Pawle, Apostole narodów, z uwzględnieniem badań archeologicznych i religioznawczych.

Warszawa — 1947

Micyna Księgarska:

Marszałkowska 34